

181

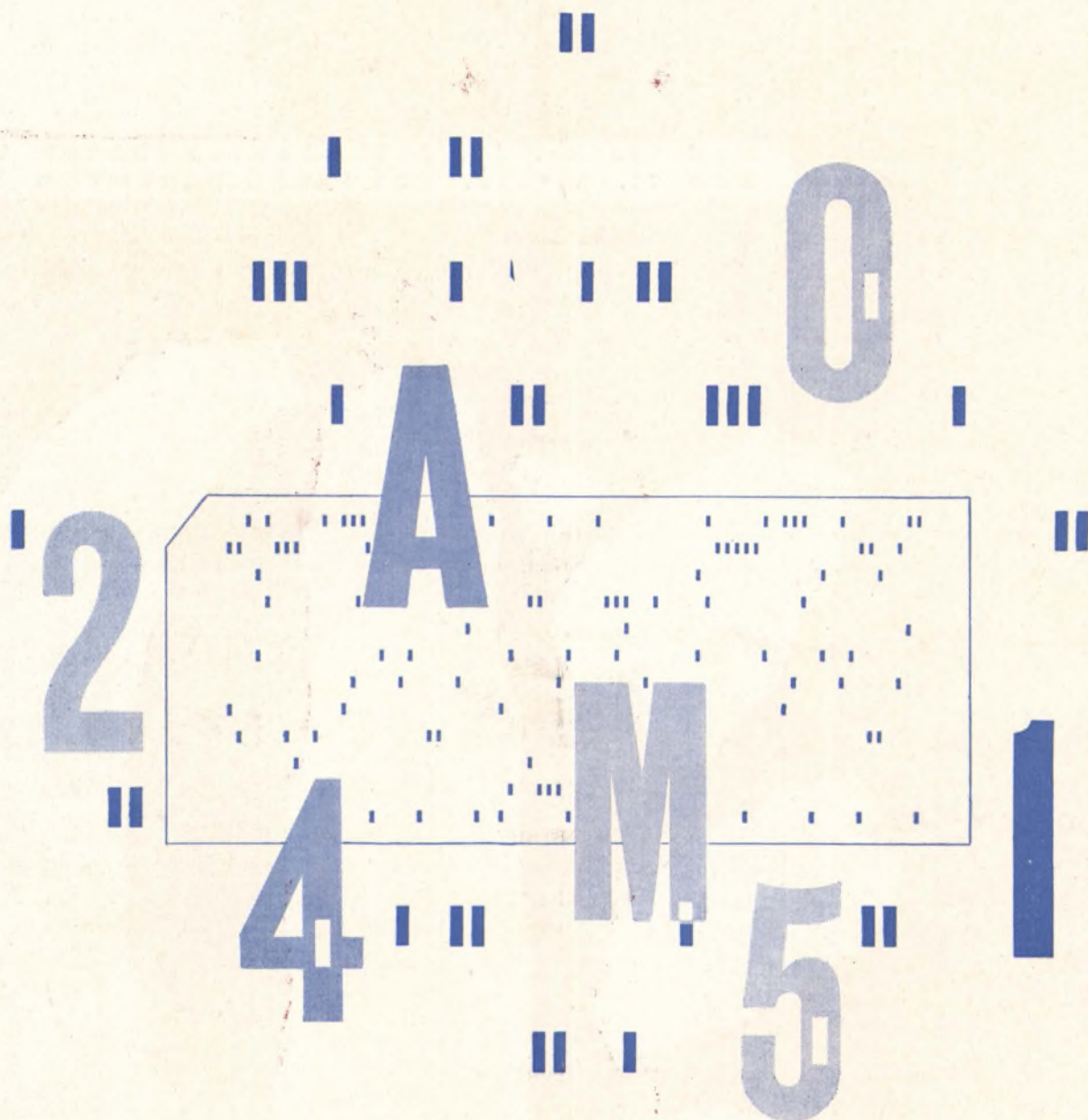
# Folha Polonêsa

# Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

ROK II. Nr. 12. LISTOPAD-GRUDZIEN 1961  
ANO II. N.º 12. NOVEMBRO-DEZEMBRO 1961





**Para o mundo dos negócios... fatos em que basear ações.** Os cartões perfurados IBM tornaram-se um símbolo, hoje muitíssimo conhecido, do progresso no mundo dos negócios. Baseando-se em dados registrados nesses cartões, as máquinas IBM de cartões perfurados apontam os fatos que permitem ao gerente moderno tomar decisões rápidas e seguras. Os avanços da indústria, da engenharia e da ciência administrativa ampliam, dia a dia, através de sempre novas aplicações, as vantagens proporcionadas ao mundo dos negócios pelas máquinas IBM de cartões perfurados. Seja qual for o tamanho da sua empresa, procure conhecer as vantagens que um Sistema IBM de Cartões Perfurados lhe pode oferecer. Um representante IBM estará sempre pronto para lhe demonstrar em detalhes, como um Sistema IBM de Cartões Perfurados poderá beneficiar o seu negócio.

**IBM** DO BRASIL LTDA.



## KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

**BUTELKI PAPIEROWE**

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

**INDÚSTRIA INAJÁ**

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

## DELACO

Comércio e Indústria S. A.

laminados plásticos,  
decorações, revestimentos

Loja e exposição:

SÃO PAULO, Rua Consolação, 825

Dpto. Técnico - fone: 32-1022

Dpto. Comercial - fone: 34-1246

Depósito e fábrica:

Rua do Manifesto, 2471, -

Fone: 63-3468.

Sprzedaż FORMICA w arkuszach  
i kawalkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspecjalizowana we wszelkich dekoracjach, aplikacjach i meblach artystycznych, wyłącznie z "FORMICA".

## Construções

## Mecânicas

## Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



## COMERCIAL POLPARANÁ S.A.

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍCOLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINÁRIA PARA TERRAPLANAGEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS - MÁQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFÔNICAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABORATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINÁRIAS E EQUIPAMENTOS P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL

## DWA NOWE FILMY POLSKIE

wkrótce na ekranach Brazylii

### "ZAMACH"

(ATENTADO)

BOZENA KUROWSKA — GRAZYNA STANISZEWSKA

ZBIGNIEW CYNKUTIS — ANDRZEJ KOSTENKO

### "BAZA LUDZI UMARŁYCH"

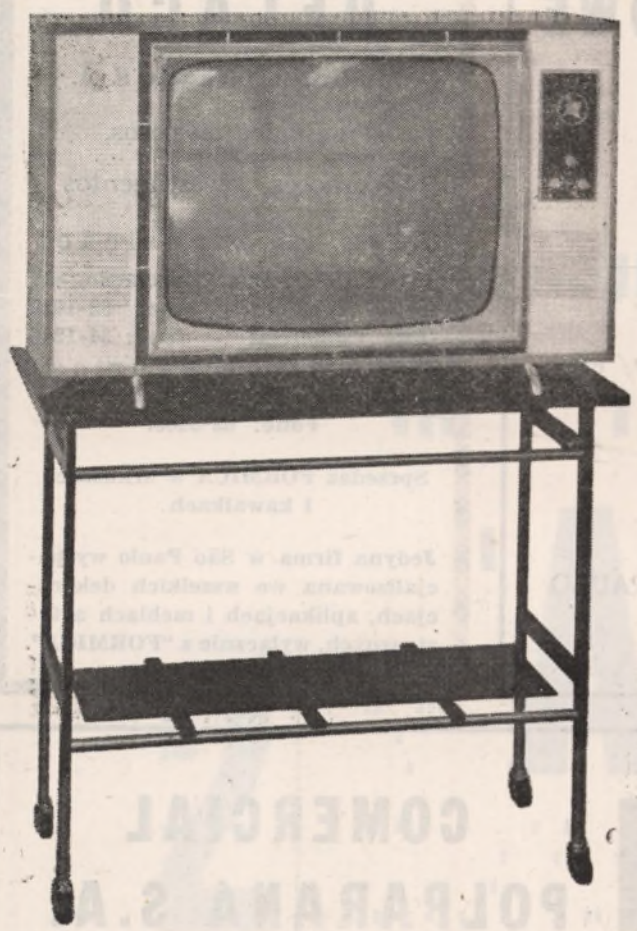
(ENFRENTANDO A MORTE)

ZYGMUNT KĘSTOWICZ — EMIL KAREWICZ

TERESA IZEWSKA — LEON NIEMCZYK

Distribuição:

INTERARTE - ORBIS FILMES



# EMBELEZE SEU LAR

e valorize seu TV tornando-o moderno funcional e agradável

As mesas de TV "ELEM" oferecem vantagens e merecem preferência porque:

LINDO E MODERNO MODELO

DA MAGNOMESA "ELEM"

- ★ SÃO CIENTIFICAMENTE PROJETADAS
- ★ CONSTRUIDAS COM MELHOR MATERIAL
- ★ TEM ACABAMENTO PRIMOROSO
- ★ MELHORAM A VISIBILIDADE
- ★ POSSUEM LINHAS MODERNAS
- ★ EMBELEZAM SEU LAR

Um produto da:

**INDÚSTRIA E COMÉRCIO ELEM LTDA.**

Fábrica: Dr. Mario Vicente, 1273 - Tel. 63-5558 - S. Paulo  
Vendas: Cons. Crispiniano, 404 sala 808 - Tel. 85-3488

São Paulo



# MATO GROSSO

As melhores terras para café, cereais, gado encontram-se localizadas no Estado de Mato Grosso.

O escritório da Organização Imobiliária R. Jaudy, possui nesse fabuloso Estado as melhores áreas com ótimos rios, estradas, campo de aviação, etc.

Lugar excelente para caça e pesca.

Preço excepcional e com facilidades.

O maior negócio no momento é aplicação de capital no Estado de Mato Grosso e a Organização Imobiliária R. Jaudy é proprietária de milhares de alqueires nessa região.

**Endereço:** — Organização Imobiliária R. Jaudy  
Rua Barão de Itapetininga, 221 — 12.º — sala 1205  
Telefone: — 34-23-26 — SÃO PAULO

## PACZKI D O POLSKI I ROSJI ZASTĘPSTWO NAJWIĘKSZEGO DOMU WYSYŁKOWEGO TAZAB-LONDON ALBO PEKAO

Importação e Exportação  
Julie e Dragutin Rajic Ltda. - São Paulo  
Praça da Sé, 399 — 4.º — Tel.: 36-8530 i 33-4963  
Ułatwienia w płaceniu należności.

## PASTIFÍCIO CIPRAL Alterio, Lualdi & Cia.

Rua Cel. Albino Bairão, 344  
SÃO PAULO

macarrão de diversos tipos

## **SPIG** Soc. Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS — INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS  
ELETRICIDADE — MECÂNICA — HIDRAULICA  
AV. DUQUE DE CAXIAS, 94  
FONE: 52-1105 — (Rêde Interna)  
End. Telegr.: "SPIGERAL" — SÃO PAULO

# Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

DWUMIESIĘCZNIK

\* \* \*

N.º 12 — LISTOPAD - GRUDZIEŃ — 1961

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY : João Castaldi del Rucillo

Dyrektor : Stanisław Biliński

REDAGUJE ZESPÓŁ: Mira Stawińska, Stanisław Koszutki, Roman Sładowski, Seweryn A. Hartman (redaktor naczelny, Stanisław Fischlowitz, Jerzy Chmielewski, Julian Targowski. FOTOREPORTER: Edmund Bielawski.

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja : rua Barão de Itapetininga, 221 conj. 1203 - Fone : 35-5584 - Cx. P. 6335 - S. PAULO, Brasil

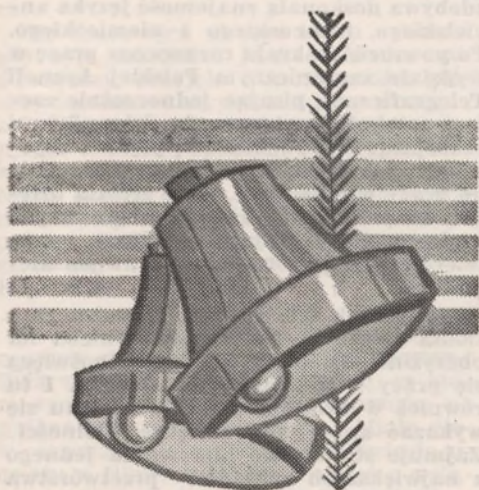
Warunki prenumeraty: 500,00 Cr\$ rocznie (za 6 numerów).

Dla stanów: Paraná, Rio Grande do Sul i Santa Catarina — 300,00 Cr\$ rocznie.

Za granicą US \$ 3,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca. Złożono i tłoczono w Drukarni "Ludu" - Kurytyba, Al. Cabral 846

## Ks. Arcybiskup Metropolita Poznański przesyła życzenia Polonii Brazylijskiej



Otrzymaliśmy następujący list od Jego Eminencji Ks. Arcybiskupa Metropolity Poznańskiego:

"Mimo wszystkich trudności i niebezpieczeństwa wynarodowienia, warto nadal podtrzymać ducha polskiego wśród wychodźstwa i kształcić młodsze pokolenie w miłości do Kraju. Rozumiem dobrze kłopoty wasze więc z uznaniem mówię o waszych zasługach.

Pracom i zamierzeniom Redakcji serdecznie błogosławię i wyprzedzam już dziś wszystkich gratulantów świątecznych, przekazując Rodakom w Brazylii serdeczne życzenia na uroczystość Bożego Narodzenia".

† Antoni Baraniak  
Arcybiskup Metropolita

## WSZYSTKIM NASZYM CZYTELNIKOM ŻYCZYMY WESOŁYCH I ZDROWYCH ŚWIĄT ORAZ SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1962

### Śpiewam cną dziewicę

(Anonim, XV wiek "I syng of a myden")

Śpiewam cną Dziewicę,  
Nieścigła jej chwata,  
Króla sobie króli  
Za syna wybrała.

Cicho zszedł z niebiosa  
Matce swej łaskawy,  
Jako w kwietniu rosa,  
Co pada na trawy.

Cicho zszedł z niebiosa  
Do komnaty matki,  
Jako w kwietniu rosa,  
Co pada na kwiatki.

Cicho zszedł z niebiosa  
Do matki w alkwowie,  
Jako w kwietniu rosa  
Pada na listowie.

Jedną ona była  
Matką i Dziewicą,  
Jeno taka mogła  
Być Bogurodzicą.

Przekład Jerzego Pietrkiewicza

## O Milagre do Natal

*A língua do Nosso Senhor  
entendem só os mansos  
a mulher infeliz  
os loucos  
os poucos  
que sem dúvidas crêm.*

*Mas na véspera do Natal  
em plena meia noite  
(é a lenda que diz)  
são os bichinhos  
que falam-na baixinho  
a crêche de Belém.*

Mira Carla

## Od Redakcji

Wkraczając w trzeci rok naszego istnienia pragniemy przede wszystkim jak najgoręcej podziękować wszystkim Czytelnikom, którzy w najcięższym początkowym okresie wspierali nas moralnie i materialnie.

Wbrew opinii pesymistów, twierdzących, że prasa emigracyjna upada, — "Przegląd Polski" z roku na rok zdobywa coraz więcej zwolenników. Świadczą o tym dziesiątki otrzymywanych codziennie listów, wzrost ilości prenumeratorów i ogłoszeń. W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie mamy już licznych czytelników i nie ma dnia, aby ich kilku nie przybywało.

Wszystko to ośmieliło nas do uczynienia kroku, który wymagał wiele odwagi i zwalczania oporów wewnętrznych: OD STYCZNIA 1962 R. "PRZEGLĄD POLSKI" ZACZNIE SIĘ UKAZYWAĆ CO MIESIĄC w zmienionej szacie graficznej, przy niepodwyższonej cenie prenumeraty. Komunikując tę przyjemną nowinę Czytelnikom spodziewamy się, że nadal darzyć nas będą zaufaniem i nie poskąpią pomocy. Pomoc tę wyobrażamy sobie w postaci werbowania nowych prenumeratorów, zasilania naszego pisma ogłoszeniami i nadsyłania materiałów redakcyjnych. Ambicje nasze idą w kierunku zwiększenia objętości pismo z 32 na 64 stron miesięcznie. Od Was tylko, drodzy Czytelnicy, zależy, aby to zamierzenie zostało jak najszybciej zrealizowane.

Redakcja

# PRZYPOWIEŚĆ O DOBRYM SERCU

ROMAN SŁADOWSKI

Wiele lat pracy dziennikarskiej nauczyło mnie patrzeć w sposób szczególny na życie. W podróży po świecie, jeszcze przed wojną, zwiedzałem różne kraje, rozmawiałem z królami, prezydentami, mężami stanu.

Nigdy nie zapomnę jak w czasie przechadzki po ogrodach pałacu prezydenckiego w Ankarze ówczesny prezydent Kemal Pasza, zwany przez Turków Gazzim, przystanął przed cudowną fontanną.

Była cisza wieczorna. Zakończyliśmy rozmowę. Skupiłem uwagę na wspaniałej postaci "odnowiciela Turcji". Jego rewolucyjne innowacje spowodowały ataki pewnej części społeczeństwa tureckiego. Zniósł jezy, skasował kwefy, emancypował życie kobiety tureckiej, która dotąd żyła prawie w zamknięciu.

Słychać było szum wodotrysku i jakiś dziwny spokój panował w naturze. Zapadał zmrok.

— Wiem, że mam wielu wrogów — powiedział Kemal Pasza. — Zwalczam ich... dobrocią. Świat dzisiejszy jest dziwny. Stosuje wszelkie sposoby, aby zabić matkę syna, żonę męża, siostrze brata. Udoskonala narzędzia śmierci i taktykę skutecznego zabijania, jak gdyby nie było dość lat 1914-18 z ich szaleńczym tańcem pod Verdun, jak gdyby nie dość było tylu łez wyplakanych. Dlaczego rządy państw nie wydają kolosalnych sum zamiast na zbrojenia na zakładanie ogrodów kwiatowych, domów opieki nad dziećmi, starcami?

Stuchalem słów prezydenta w skupieniu. Gdy wracałem po skończonej audiencji do hotelu byłem pod ich głębokim wrażeniem.

Pamiętam, że dawno temu, jeszcze przed pierwszą wojną światową, moja babka płakała rzewnymi łzami kiedy usechł jej kwiat doniczkowy.

Dziś o kwiaty rzadko kto płacze. Mato jest też ludzi kochających kwiaty, świat się skomercjalizował.

Karmienie gołąbków należy do rzadkości, a gdy swego czasu zjawił się miłośnik ptaków, który w Rio de Janeiro zanosił im codziennie jedzenie, zginął pod samochodem przechodząc na drugą stronę placu, na którym karmił gołębie.

Wystarczy przejrzeć którąkolwiek gazetę. Z każdej litery wieje nienawiść do wszystkiego i wszystkich. Nienawiść panuje w życiu publicznym i prywatnym, narody nienawidzą inne narody; siostra, która ma mniej, nienawidzi siostrę, która ma więcej, syn zazdrości ojcu, a brat bratu. O dobrym sercu, jak za dawnych czasów nie ma mowy.

Cóż znaczyl Verdun w porównaniu z tym co nas, co świat czekało później. Kemal Pasza, wielki mąż stanu, prezydent, którego pomniki zdobią dziś każde niemal miasto tureckie, każdą niemal zapadłą wieś, nie doczekał się tego tańca śmierci i tej szaleńczej nienawiści, która opanowała cały świat.

Gdy chodzi o nas, Polaków, drogo placiliśmy za wszystko, co postanawiali wielcy, którzy zamiast zakładać ogrody kwiatowe kazali się ludziom wzajemnie zabijać. Ile wojen w jednym moim pokoleniu? Pierwsza wojna światowa, potem walki o mój ukochany Lwów, potem Kijów i marsze na Ukrainę, potem walki w Warszawie, potem zawierucha i morze krwi wylane przez kata ludzkości, Hitlera.

Zdawało by się, że ta okropna, ta straszliwa tragedia, którą przeżyła ludzkość, i w której odegraliśmy tak aktywną rolę, powinna wzbudzić w nas miłość do bliźniego, uszlachetnić, wydobyć ze zmęczonych i steranych dusz ukryte resztki dobroci. Widząc tyle nędzy, wspominając tyle koszmarnych chwil, które jeśli nie my sami, to nasi najbliżsi przeżyli, powinniśmy się wznieść na piedestał dobroci, na wyżynę szlachetności. Niestety, wystarczy spojrzeć dokoła i chcieć widzieć. Nienawidzimy nadal, a dobroć, jeżeli istnieje, napewno nie mieszka w naszych sercach.

Nie chciałbym być posądzonym przez moich rodaków, że prawie kazania. To co piszę nie odnosi się tylko do nich. Czytałem w czasie oblężenia Warszawy list, który nadszedł cudem do jednego z moich kolegów, od żony, która tam została z dwójkiem dzieci. On musiał wyjechać. Taki miał rozkaz. Zanotowałem fragment tego listu.

Pisała:

"Drogi nasz Ojczulku,

Dom już nie istnieje. Spalony. Uratowaliśmy się cudem. Wsadziwszy do worka kilka łachów, trzymając za rękę Wojtusia i niosąc na ramionach drżącego Tadzieńka wśród bomb i szrapneli przedostałam się do jednego z domów na Nowym Świecie. Tam ukryliśmy się w piwnicy. W pewnej chwili wpadł pocisk, którym zostaliśmy zasypani. Gdy otworzyłam oczy ujrzałam widok, który zostanie mi na zawsze w pamięci. Wojtuś leżał na Tadeuszkę i zlizywał mu krew z czoła. Dziś wszystko minęło.. Rana była lekka, przyczepiła nas dobrzy ludzie...

Tak pisała młoda polska kobieta. Czy istnieje serce, któreby nie poczuło bólu, gdy to czyta?

Może ten mały Wojtuś, który zlizywał braciżkowi krew z czoła w pewnej piwnicy warszawskiej, napisze historię o dobroci. Ale nie ma jej wiele w dzisiejszym świecie.

Skazany na karę śmierci był premier turecki Menderes zażył trucizny. Szesnastu najlepszych lekarzy tureckich ratowało go i uratowało, aby go powieszono.

Roman Sładowski

## Przechodził tędy Timur kulawy

SEWERYN HARTMAN

Przechodził tędy Timur kulawy...  
Tysiąc rumaków stratowało pola  
i tysiąc wojów szukało sławy  
i śmierć znalazło. Taka niebios wola.  
Mieczem i ogniem czynił Timur cuda  
od słońca wschodu, aż do zachodu.  
Lecz czymże sława? Marność i uluda.  
Jak garść popiołu rzuconą w wodę.  
Tylko po zuchu, co zbroczył z drogi,  
po wiekach jeszcze chwiewią się leszczyny.  
Duch się junaka błąka ubogi  
i z skośnych oczu spogląda dziewczyny.



## Fryderyk Gieszyński

Śmierć wyrwała z naszego grona redakcyjnego najmilszego z ludzi, mędrca o gołęmb sercu i anielskiej duszy.

Autor fraszek, które przez nadmiar skromności podpisywał jedynie inicjałami Fr. G., umiał w życiu codziennym pogodzić powagę działacza gospodarczego z płochością i humorem satyryka.

Wychowany w Krakowie, tam też skończył wydział humanistyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podróżując, następnie, kilka lat po zachodzie Europy i posiadając wrodzony talent lingwistyczny, zdobywa doskonałą znajomość języka angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Po powrocie do kraju rozpoczyna pracę w wydziale zagranicznym Polskiej Agencji Telegraficznej, pisując jednocześnie eseje i artykuły krytyczne do dzienników i czasopism krakowskich. Tę pięknie zapowiadającą się karierę przerywa przejście do pracy w przemyśle, gdzie zresztą dzięki olbrzymim zdolnościom osiąga wspaniałe rezultaty, stając się jednym z czołowych organizatorów hutnictwa polskiego.

Wojna, jak tylu innych, wysadza go z siedla i zmusza do szukania chleba na obczyźnie. Osiadłszy w Brazylii poświęca się pracy w przemyśle metalowym. I tu również w krótkim czasie udaje mu się wykazać swoje nieprzeciętne zdolności. Zajmuje stanowisko kierownika jednego z największych zakładów przetwórstwa metalowego w São Paulo.

Czy był zadowolony z wyników? Wydaje się, że w głębi serca żałował, że nie wybrał innej drogi. W rozmowach ze mną wracał często do myśli, że powinien się być poświęcić pracy naukowej w dziedzinie literatury.

Nie zostawił po sobie dużej spuścizny. Blok do połowy zapisany, który zachował się w papierach pośmiertnych, zawiera zaledwie kilkanaście utworów. Na tytułowej kartce widnieje, jak by napisany w przecuciu śmierci, przeraźliwie smutny wiersz Requiem.

Sten.

Fryderyk Gieszyński

## REQUIEM

Minęły bezpowrotnie  
moje marzenia, nadzieje, tęsknoty.  
moje zachwyty, porywy i wzloty...  
Przeżył w próżni, oko w oko  
z czasem, który nie przemija,  
który wszystko rodzi i wszystko zabija.  
Pierzchył z ludzienia.  
Ich miejsce zajęła zarazem  
prawda, którą pocieszam się i smucę...  
to, że z prochu powstałem  
i w proch się obróczę.



# Zajczyk

Mira Lampe - Sławińska

List przyfrunął z Nowej Zelandii:  
 ... adres Twój zawdzięczamy Jackom z Sydney... powodzi nam się stuk, stuk w nieheblowaną deskę. Kraj piękny, spokojny, porządek angielski, tylko niedzielne popołudnia, jak spod sztańcy, no i do Europy daleko. Pomimo to byliśmy już dwa razy w Kraju i raz w Anglii, u brata. Jest z niego ważny "gentleman-farmer", jak to się tam mówi. Trafiliśmy szczęśliwie na "white Christmas" Tyle lat nie oglądałam śniegu! I czuła bym się, jak za dzieciństwa w Bobrowce, bo i choinka była, a jakże — gdyby nie...

\*\*\*

Adriana von Claasen? Czy ją pamiętam! Jakże mogła bym zapomnieć piękną, posagową, niesamowitą Adrianę, którą koleżanki w internacie — te brzydsze i przedwcześnie oczytane — nazywały Alrauną. Wysoka, najwyższa w klasie i jakże doskonale zbudowana.

Urodzona w Wiedniu, po matce Bośniaczce odziedziczyła smagłość cery, biel uzębienia i — upór; po ojcu Szwedzie — postawę Skandynawów i jedwabiste, lśniące włosy koloru najjaśniejszego popiołu. Z tej niezwykłej mieszaniny krwi i usposobień oraz ze splotu późniejszych wydarzeń wyłoniła się najszczerza, najprawdziwsza Polka. Jakże drażniły ją częste krytyki i uwagi jej zacnej ale ograniczonej matki, zaczynające się niezmiennie od słów: w kraju twojego ojca...

Nie знаła ojca ni jego kraju. Umarł gdy była dzieckiem jeszcze. Matka owdowiawszy, przyjęła z konieczności gościnę zaofiarowaną przez siostrę zamężną z Polakiem, b. oficerem austriackim, żyjącym w stanie spoczynku w swym niewielkim majątku ziemskim w Małopolsce. Nigdy nie żyła się z otoczeniem, nigdy nie nauczyła się poprawnie mówić po polsku. Czuła się obco i samotnie, zwłaszcza gdy Adrianę wysłano do szkoły w Krakowie.

\*\*\*

Tyle wiedziałam o niej gdy zaprzyjaźniłyśmy się któreś zimy w Zakopanem. Była wówczas prześliczną panną, za którą synowie bogatych przemysłowców na próżno dzieraliłi sobie obcasy. Miała głowę zaprzątniętą propozycjami wzięcia udziału w filmie; myślała również o wstąpieniu do Instytutu Sztuki Teatralnej.

W parę lat potem spotkałyśmy się nad jeziorem Bled w Jugosławii. Było to owego, pamiętnego roku, w którym na romantycznym nadbrzeżu zawiązała się miłość dwojga wysokich, urodziwych istot: księcia Kentu i greckiej księżniczki Mariny, przechadzających się wśród zagajników w ciągłej ucieczce przed inwazją reporterów z całego świata.

— I pomyśleć, że ja mogła bym dzisiaj być na jej miejscu — wymknęło się razu jednego mojej Adrianie.

— Co tam bajdurzysz — roześmiałam się.

— A zobaczysz, pokażę ci zdjęcia, bileciki — powiedziała z taką naturalnością, jak by chodziło o zwykłego studenta, który smalił kiedyś cholewki do niej.

Gdy już w willi jej serbskich przyjaciół, rzekomo spokrewnionych z Karadźordżewiczami, 1) u których mieszkała, przeczytałam pierwszy liścik, który przed niespełna dwoma laty towarzyszył olbrzymiemu koszowi purpurowych róż, nabrałam dla swej przyjaciółki podziwu, jaki pod wpływem bajek o zaczarowanych królewiczach rozbudza z kolei kult monarchii, szczególnie w młodocianych i egzaltowanych czytelnikach.

— Taki wspaniały hołd pięknego księcia — westchnęłam rozmarzona, ale już w następnej chwili powróciłam z obłoków na ziemię.

— No i nie podtrzymałaś jakoś tego uwielbienia, durna gęś! Przecież coś podobnego zdarza się raz na sto lat...

— Nie kochałam go — odpowiedziała znów ze swoją zwykłą prostotą — tym bardziej więc nie mogłabym pogodzić się z przelotną rolą faworyty. Zresztą — nie wieczór jeszcze. Jestem fatalistką i wierzę, że spełni się to, co mi pisane.

Z zagadkowym uśmiechem wyciągnęła ku mnie otwartą dłoń lewej ręki.

— Przyjrzyj się

Nie wierzyłam własnym oczom: delikatne, bladoniebieskie żyłki tworzyły wyraźny zarys korony, podobnej do tych, jakie rysują dzieci.

— Chyba tatuaż — powątpiłam.

— Nie jestem marynarzem — zachnęła się zadrzaśnięta — urodziłam się z tym znakiem. Kiedyś blisko stuletnia cyganka w Dubrowniku przepowiedziała mi, że zostanę... **kralką**. 2)

— Chciałabym nią być w czymś wielkim, szlachetnym sercu... zauważyła sciszonym głosem i — zamysliła się.

\*\*\*

Po długich wahaniach uległa namowom i wybrała karierę filmową; może obiecując sobie uniknięcia grożącej ruiny majątkowej, a tym samym utraty niezależności.

Pod bezbarwnym pseudonimem Krystyny Norskiej zagrała dość sztywno — dwie poboczne role w miernych filmach produkcji krajowej, ale uroda jej zwróciła uwagę Abel Gance'a i niebawem otrzymała nie wielką wprawdzie, ale dość odpowiedzialną rolę w jakimś policyjnym filmie francuskim. Zdjęcia jej coraz częściej ukazywały się w czasopismach poświęconym sprawom ekranu. Malarze ubiegali się o utrwalenie na płótnie jej niesamowitej, ujarzmiającej urody.

Witkiewicz malował ją parę razy nawet. W oparach swych zamroczeń narkomana widział ją jako złośliwą, niebezpieczną strzygę w poświacie księżycy, jako obłąkaną na tle sino-zielonych płomieni, których nieziemski odblask migotał w przerażonych oczach kształtu migdałów — to jako dumnego, chłodnego Narcyza, zapatrzonego we własną pustkę i jałowość.

Z portretu Styki spoglądała wymuskana, upudrowana, o wystudiowanym uśmiechu hollywoodzkiej divy, z długiej szyi okolonej etolą z białych, puszystych piór marabú, przypominająca łabędzia. Dąbrowska podpatrzyła w niej wytworną kurtyzanę w misternych koronkach z wachlarzem w ręce, tchnącej czarem subtelnej, leniwej kobiecości i urokiem odległej epoki dworu Ludwików.

Wiele było jeszcze tych portretów, ale żaden nie oddawał wiernie Adriany prawdziwej. W rzeczywistości była skromna, jak najbardziej ludzka i uczuciowa. Jej pozorna obojętność i uśmiech, który wydawał się wyniosły — były jedynie środkami do zaćmienia samotności, i pewnej potęgującej się bezradności. Wmówiono w nią, że była wspaniałą, genialną, że przeznaczenie wyznaczyło jej fantastyczną rolę na ziemi. Grała ją, jak mogła najlepiej, konsekwentnie, cierpliwie, byle by nie zawieść tych, którzy ją kochali, uwielbiali i tyle w niej pokładali na-

dziei. W duchu jednak jak mi się nieraz zwierzała — marzyła o wielkiej, szczególnej miłości, której starczyłoby jej do końca życia, o miłym, serdecznym kole rodzinnym, o własnym, przytulnym ognisku domowym, którego nigdy nie posiadała.

\*\*\*

Pamiętam, że z Nicei, gdzie tuż przed samą wojną spędzała urlop zdrowotny, udzielony jej przez francuską wytwórnę filmową, przyszła wiadomość, podana w formie sensacji, że nieodłącznym towarzyszem zabaw i wycieczek pięknej polskiej "gwiazdy", był piękny młody maharadża, syn jednego z największych krzesusów Wschodu.

Toteż jakież było moje zdziwienie, kiedy w okresie świąt Bożego Narodzenia 1940 roku "wywiewania" znajomych z okupowanej Warszawy, spotkałem ją wychodzącą właśnie z zbombardowanego szpitala Ujazdowskiego. Spod futra wdzierał rąbek białego fartucha pielęgniarki. Była blada, chuda, o zaczerwienionych z przemęczenia gałkach oczu.

— Jakże mogłabym opałać się tam bez troski, gdy tutaj tyle jest do zrobienia, tyle nędzy i rozpacz... — obruszyła się na moje niedowierzanie.

— A ów... maharadża? — zapytałam nieśmiało.

Zmarszczyła brwi.

— Nie kochałam go — odparła niecierpliwie — mówiłam ci już kiedyś, że Polka wychodzi za mąż albo z wielkiej miłości albo — z litości. Nie żywiłam do niego żadnego z tych uczuć.

Brzmiało mi to patetycznie ale mieściło się w ramach miejsca i czasu.

\*\*\*

I znowu zetknął nas los za granicą. Tym razem w jednym z obozów dla rodziny wojskowej na terenie Anglii. Adriana była już tylko odblaskiem dawnej piękności. Praca w Podziemiu nadwyrężyła jej siły i zdrowie. A jednak wciąż jeszcze nie brakło jej wielbicieli. Kiedyś podczas przenosin z jednego baraku do innego, na samym końcu ogromnie rozprzeszczerzonego obozu, Adriana zawieruszyła się gdzieś i długo nie było jej widać. Prawdopodobnie zabłądziła wśród bliźniaczo podobnych do siebie "beczek śmiechu", jak nazywaliśmy blaszane, półkoliste baraki.

Siedzieliśmy już w ogólnej jadalni obozowej, gdy zjawiła się nasza zguba w towarzystwie dziarskiego Szkota, komendanta obozu.

— Oto przyprowadzam królowę Polski — powiedział donośnym głosem, który zdradzał zachwyt — i już do końca kolacji asystował Adrianie.

\*\*\*

Niestety, dalsze jej dzieje były jak najbardziej plebejskie. Otóż zgodnie z zarządzeniem władz musielismy iść do pracy i to fizycznej. Bez względu na płeć, na rangę, na stopień wykształcenia — zwolnieni byli jedynie lekarze — kierowano nas do fabryk i do pracy w gospodarstwie domowym. Postanowiliśmy z Adrianą i jeszcze paroma paniami wybrać się na własną rękę do Londynu, obiecując sobie lepsze, ciekawsze warunki pracy, niż na prowincji. Tymczasem w stolicy roіło się

# MOJE PRZYGODY W BRAZYLII

STEFAN POCHWATKA

od młodych panienek z dobrych rodzin z kontynentu europejskiego, które w zamian za doskonałe wynagrodzenie, za serdeczny do nich stosunek pracodawców, jak do członków rodziny, oraz za pogłębienie znajomości języka angielskiego (nie rzadko pracę wieńczyło małżeństwo z paniczem domu) poświęcały miesiące wakacji czy nawet rok wyższych studiów w swoim kraju, angażując się jako *baby-sitters*, 3) stałe gubernantki czy damy do towarzystwa.

Nam, nie będącym już w wieku studentek, zmęczonym tułaczką po świecie, marzyła się praca w biurze. Stało się to jednak dostępne dopiero w rok później, gdy zmieniły się zarządzenia a my pogłębiliśmy znajomość języka. Na razie pozostawała praca w szpitalach lub — pitraszenie. Adriana, która, jak zwykle dyskretnie nami przewodziła, zawiąrykowała: do podawania "*chambers'ów*" 4), nie mamy już sił, za ciężka praca; pójdziemy kuchci. Angolicy nie są wymagającymi smakoszami. Dobrze o nich mówią Francuzi. "*Les Anglais ne mangent pas, ils bouffent!*" 5).

Niestety, i tu nie miałyśmy powodzenia. Angolicy potrafiały wprawdzie być rozbijającymi łatwowierni, ale nie można było w tym wypadku przekonać ich do zrazów a la Nelson, przyrządzonych przez dyplomowaną ekonomistkę, magistra filozofii, nauczycielkę historii i — była artystką filmową! Adriana miała tę niedogodność, że pomimo pewnych zdolności aktorskich i nabytej umiejętności charakterystyzacji, trudno jej było zagrać rolę gospodyni.

— You are too beautiful — mówiły jej wręcz panie domu i z nieodłącznym "*sorry*" 6), zamykały jej drzwi przed nosem.

Z sytuacji, grożącej powrotem do obozu, wyratowała nas szwalnia czy wykańczalnia fabryki sukien sportowych na eksport. Adriana okazała się najrzeczniejszą z nas i najwydajniejszą. W krótkim czasie stała się ulubienicą kierowniczek, a wcieloną antypatią — koleżanek, rekrutujących się ze wszystkich narodowości kontynentu Europy i kolonii brytyjskich "*Hochheit*" 7) — mówiły o niej z przekąsem Niemki, "jaśnie hrabina" — Polki. Tych była tam przewaga.

Adriana nie odrywała się bowiem od roboty, z nikim nie gawędziła, a haftki przyszywała z godnością, z jaką królowa Anglii przyszywała orderzy swym wyróżnionym poddanym.

\* \* \*

Pewnego dnia zjawił się po nią niewielki człowieczek z olbrzymim, familijnym parasolem w ręku. Ubrany był w kurtkę, sporządzoną z grubego wełnianego koca, na małej główce ozdobionej parą wielkich, odstających uszu — nosił beret baskijski. Oczka miał wesołe, uśmiech sympatycznego gryzonia. Toteż nie zdziwiłam się gdy przedstawił się wśród podskoków:

— Zajczyk jestem.

— To sąsiad z pensjonatu — wyjaśniła Adriana — bardzo uczynny młodzian. Załatwia mi "*ration*" 8), stoi w kolejkach za mnie, zamienia książki w czytelnik...

Mały człowieczek zjawiał się coraz częściej; zawsze z parasolem i z miną opiekuna.

— Wygląda na zakochanego w tobie — nie wytrzymałam kiedyś.

— A gdyby nawet? Czy mogę mu zabronić? Biedaczyna... — westchnęła głęboko i powróciła do swych haftek.

\* \* \*

Gdy się tylko wybierałem w podróż zawsze odczuwałem pewien niepokój i żal za miejscem, które opuszczałem.

Było to przy końcu grudnia i w Pôrto Alegre panował wielki upał. Moi koledzy wysiadali sobie w tym czasie w parku na ławeczkach albo popijali piwo, a ja musiałem taszczyć ciężką walizkę w samo południe. Obtarłem pot z czoła i popatrzyłem na bilet okrętowy. Dochodziła godzina odejścia statku. Przyspieszyłem kroku i wkrótce znalazłem się w porcie. Z trudem przecisnąłem się przez tłum odprowadzających i gapiów.

Oficerowie marynarki w białych mundurach podawali z uśmiechem ramię nadobnym paniom, pomagając się im wdrapać po stromych schodach na pokład. Niezadługo i ja znalazłem się na pokładzie; stanąłem przy balustradzie i popatrzyłem z wysokości na mrowisko ludzkie na dole. Odjeżdżający przechylali się przez burty, krzyczeli i machali rękami. Z dołu widać było również ręce wymachujące białymi chusteczkami. Tylko mnie nikt nie żegnał i ja też nie miałem kogo żegnać.

Nagle statek zaryczał potężnie, aż drgnąłem i zaczął się powoli odsuwać od nadbrzeża, a raczej zdawało się, że to cieżba ludzka i całe miasto odsuwa się od statku.

Pod wieczór ochłodziło się, nadleciał mocny wiatr. Morze zaczęło falować i huścić statkiem. Wkrótce niebo się zachmurzyło. Zrobiło się ciemno i na szarym tle nieba ukazały się zygzaki błyskawic.

Poszedłem do kajuty i położyłem się na koi. Przy słabym świetle i tu było ponuro. Słychać było straszny szum i huk. Statek trzeszczał jak by się miał przełamać. Nie mogłem uleżeć na łóżku. Złazłem i wybrałem się na pokład.

Morze się wściekało. Fale zalewały pokład. Złapałem się za poręcz, żeby się nie przewrócić. Szum morza głużył odgłosy gromów. Widać tylko było bez

przerwy błyskawice. Łał gruby, rześisty deszcz, wiatr smagał mnie bez litości po twarzy, a fale oblewały gorzko-słoną wodą. Co chwila wypluwałem tę wodę.

Marynarze biegali jak opętani. Zdawało się, że nadszedł koniec świata. Nagle statek się przechylił, poręcz wyrwała mi się z rąk i rzuciło mnie przez otwarte drzwi na schody. Na czworakach dowlokłem się do kajuty.

— A niech się dzieje co chce! — pomyślałem.

Byłem przekonany, że to już koniec.

Udało mi się wgramolić na łóżko i jakimś cudem zasnąć.

Obudziła mnie cisza. Z początku nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Naraz zabręczał hałaśliwie dzwonek. Wstałem szybko z koi i wyszedłem na pokład.

Nie było nic widać. Cały świat zalegała gęsta, biała mgła. Statek od czasu do czasu porykiwał.

Dopiero po kilku godzinach niebo zaczęło się przecierać. Wyłoniło się słońce, i ujrzałem w dali Rio Grande. Brzeg szybko się przybliżał, można już było dostrzec ludzi kręcących się po porcie.

Kochane moje Rio Grande! Oto znów cię witam. Z rozrzewnieniem patrzę na znajome mury i ulice. Czy też spotkam kolegów i przyjaciół, z którymi pracowałem i spędziłem tyle miłych chwil?

Gdy tak stałem pogrążony w sentymentalnym nastroju zbliżyli się do mnie funkcjonariusze hoteli, ofiarując z miłym uśmiechem swoje usługi. Kierowca taksówki chciał mi wyrwać z ręki walizkę.

Otrząsnąłem się. Nie potrzebowałem taksówki, ani hotelu. W Rio Grande znalazłem pewną polską rodzinę, u której wynajmowałem zawsze pokój. Ruszyłem więc rażnym krokiem naprzód.

Piękne jest Rio Grande! Aleje wysadzone drzewami, stylowe domy, parki pełne cieniowych brakating, klombów i ławek, na których odpocząć może strudzony wędrowiec.

Rodzina, do której się udawałem, pochodziła z Warszawy. Sumienną i uczciwą pracą dorobili się własnego domu, w którym kilka pokoi odnajmowali. Gospodyni była to tegą i sympatyczna kobieta. Często wspominała ukochaną Warszawę, opowiadała o trudnych początkach życia w Brazylii.

Pewien byłem, że u tej zacnej rodziny znajdę przytułek i pomoc.

Piękny drewniany domek odgradzony był od ulicy ogródkiem kwiatowym. Przed domem biegały zwykle dzieci. Ale dziś furka była zamknięta. Tylko wewnątrz odczuwało się gorączkową krzątaninę.

Postałem chwilę, a potem zaklaskałem raz i drugi w dłonie. Ktoś szedł do drzwi. Uchyliły się wreszcie i ukazała się znajoma twarz gospodyni.

— Ach, to pan, panie Stefanie! Dzień dobry panu, dzień dobry!

Z otwartych drzwi buchały miłe zapachy.

— U pani w mieszkaniu — mówię — tak pachnie, jak w cukierni.

Gospodyni popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— To pan nie wie, że dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia?

I teraz ten list z Christchurch. Czytam i czytam...

... "bytność u brata zapowiadała się więc przyjemnie i ciekawie. Z małej kurzej farmy przerzucił się na hodowlę świń. Ależ okazy! Knury — powiadam ci — jak u nas na Pomorzu. Zarządzał tym niejaki Zajczyk. Podczas świąt umarła mu żona, z którą był ogromnie szczęśliwy, choć stale mu chorowała. Ty masz pojęcie, kto to był? Adriana von Claasen! Niedoszła właścicielka kopalni w Zagłębiu, niedoszła księżna pani, niedoszła maharani, niedoszła królowa ekranu...

Biedak był zrozpaczony. Skulił się jeszcze bardziej, pomarszczył. Nie można było oderwać go od mogiły. W swej futrzanej kurtce i kołpaku na głowie wyglądał, jak zraniony zajacek w śniegu..."

1) Nazwisko b. jugosłowiańskiego rodu królewskiego.

2) Królową.

3) Opiekunki do dzieci na określony czas.

4) Nocników.

5) Angolicy nie jedzą, a żrą.

6) Przepraszam - po angielsku.

7) — Jej wysokość - po niemiecku.

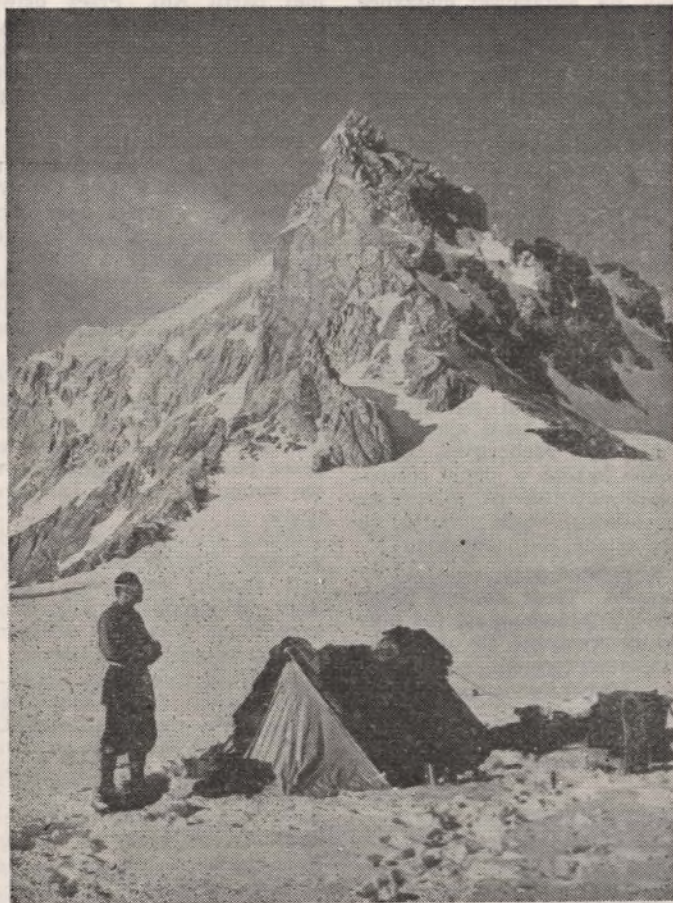
8) Kupno tygodniowej racji żywności.

Mira Lampe-Sławińska.

Stefan Pochwatka

# Na Spitsbergenie

JERZY PIOTROWSKI



Na Spitsbergenie. Autor na wycieczce wysokogórskiej.

Korzystając z pobytu w Brazylii znanego alpinisty, p. Jerzego Piotrowskiego, poprosiliśmy go o napisanie artykułu z archipelagu Spitsbergen. P. Piotrowski przebywał na Spitsbergenie 18 miesięcy na stacji polarnej prowadzonej przez ekipę polską w ramach III Międzynarodowego Roku Geofizycznego.

Kompleks wysp, znajdujących się stosunkowo najbliżej bieguna północnego, gdyż zaledwie w odległości 1000 km. od niego, zwie się popularnie Spitsbergenem, chociaż jedna tylko największa z wysp nazywa się Zachodnim Spitsbergenem.

Archipelag ten został odkryty już w XII w. przez Wikingów, którzy ochrzcili go mianem Svalbardu, co oznacza — Zimny Brzeg. Odkrycie to poszło całkowicie w niepamięć, tak że obecnie uważa się za odkrywców Holendrów Berentsa i van Rijpa, których w r. 1596 oczarował — jak go zwali — "kraj spiczastych gór", czyli Spitsbergen.

Zupełnie niezamieszkały kraj, o powierzchni ponad 300.000 km<sup>2</sup>, znajduje się częściowo od wschodu pod wpływem zimnego prądu biegunowego, częściowo zaś pod wpływem Golfstromu, którego odnoga opływająca zachodnie wybrzeże ogrzewa je, stwarzając możliwe dla życia warunki. Tutaj też wzdłuż brzegu ciągnie się, przerywany licznymi lodowcami spływającymi do oceanu, wąski, gdyż liczący maximum 200—300 metrów pas ubogie tundry.

Już parę kilometrów w głąb kraju ciągnie się bezkresne królestwo lodu, śniegu i stromych, pięknych gór.

Wiek XVIII był okresem znacznego rozkwitu Spitsbergenu. W miesiącach letnich zakładano tu sezonowe miasteczka dla łowców wielorybów, którzy polowali na olbrzymie ssaki i na brzegach licznych fiordów uprawiali swoją zdobycz, oraz dla myśliwych z całego ówczesnego świata szukających na wyspach lisa, niedźwiedzia lub foki. Dziś na całym tym ogromnym obszarze znajduje się na zachodnim wybrzeżu zaledwie kilka osad zbudowanych przy odkrywkowych kopalniach węgla i liczących od 200 do 1000 mieszkańców.

Południowy przylądek Soerkappslund pozostaje pod wpływem północnego zimnego prądu morskiego mieszającego się z Golfstromem, co powoduje szereg zaburzeń klimatycznych i czyni ten klimat bardzo surowym. Przylądek broni dostępu do fiordu Hornsund, zwanego ponadto przez Norwegów "Isbjoernpromenade" tj Promenadą Białych Niedźwiedzi z racji częstego odwiedzania fiordu przez te piękne i niebezpieczne zwierzęta. Tu powstała w r. 1957 polska stacja naukowa.

Po raz pierwszy zetknąłem się ze Spitsbergenem w sierpniu r. 1956 po nader interesującej podróży wszystkimi możliwymi środkami lokomocji poprzez Szwecję i Norwegię.

Zadaniem pięciosobowej grupy rekonesansowej pod wodzą kierownika wyprawy, znanego polskiego polarnika doc. dra Stanisława Siedleckiego, było zapoznanie się z terenem i wybór miejsca pod przyszłą bazę. Prócz kierownika, który miał głos decydujący, konsultantami byli: geolog, meteorolog, kierownik techniczny wyprawy i ja jako przyszły projektant i budowniczy bazy.

Wysadzeni ze statku gubernatora Svalbardu znaleźliśmy się w dziewiczym kraju, gdzie dzień trwa ponad cztery miesiące, kraju, którego tajemnic i niebezpieczeństw nie znałem prawie zupełnie.

Poznając wnętrze fiordu przepływaaliśmy go wielokrotnie lodziami z przyczepnym motorem podczas dużej fali, gór lodowych i kry, czasem tak gęstej, że trudno było wypatrzeć pasma wody, przez które przebiegała się z trudem łódź, uderzając niebezpiecznie o bryły lodu. Urywające się kilkudziesięciometrowymi zerwami czoła ogromnych lodowców (czoło lodowca Torella ma 20 km. szerokości) omijaaliśmy w miarę możliwości z daleka. Olbrzymie bryły lodu wagi setek ton, podmywane przez wodę, waliły się z hukiem, tworząc nowe góry lodowe.

Mówiło się, że lodowiec "się cieli". Znajdujące się często daleko od brzegu szery, czyli podwodne skały, zmuszały niejednokrotnie do znacznego nakładania drogi. Towarzyszyły nam w tych wędrówkach wpływające do fiordu wieloryby, wylegające się na krach foki i niezliczone chmary różnego ptactwa. Potem, w latach następnych, w zimie, a głównie na wiosnę, pojawiły się białe niedźwiedzie.

Zastanawiało nas bogactwo fauny w tym, zdawało by się pozbawionym jakiegokolwiek życia kraju, gdzie najwyższe "drzewa", rosnące wśród kolorowej tundry, nie przekraczały wysokości 20 centymetrów. O ile woda zdawała się być królestwem licznych fok, o tyle na lądzie panował w okresie letnim lis. Przesłaniające czasami niebo gromady ptaków wily sobie gniazda jedynie na niewielkich skałach wystających z wody lub na niedostępnych, pionowych zerwach gór.

Czasy polowań na wieloryby przypominały tu i ówdzie leżące czaszki tych olbrzymów i prymitywne chatki myśliwskie obrośnięte mchem, dla których budulcem były nieliczne deski, kości wieloryba oraz pnie drewna dryftowego, które wycięte gdzieś w Syberii i spławiane rzeką zanim się tu znalazły przewędrowały wiele lat po różnych morzach nim fala wyrzuciła je na brzeg.

Za rok miał tu w Zatoce Białych Niedźwiedzi powstać budynek, w którym dziesięciu ludzi w ciągu 16 miesięcy pracować miało naukowo w warunkach normalnej stacji meteorologiczno-geofizycznej. Wiele ton bagażu musiało być przywiezione z dalekiej Europy i przetransportowane ze stojących daleko we fiordzie statków na brzeg wyspy.

\*\*\*

Rok 1958. Już drugi rok czynna jest stacja naukowa. Część członków wyprawy znajduje się w bazie, inni w odległym nieraz o dziesiątki kilometrów terenie.

Korzystając — po okresie ciężkiej pracy — z dwóch, trzech tygodni swobody wyruszam wraz z dwoma kolegami-alpinistami: dr. Ryszardem Schrammem i Andrzejem Zawadą na drugą stronę fiordu z zamiarem zdobycia najwyższego szczytu południowego Spitsbergenu Hornsundtindu, cieszącego się opinią jednego z najtrudniejszych wierzchołków, który już kilkakrotnie oparł się atakom alpinistów angielskich i norweskich.

Z oceanu napływa do fiordu mgła i ściela się na wodzie. Jest półmrok i przejmujące zimno, trzęsiemy się nawet w himalajskich kurtkach puchowych. Płyniemy przeważnie na kompas, czasem tylko można się orientować według wylaniających się delikatnych zarysów przybrzeżnych szczytów, oświetlonych stojącym nisko nad horyzontem słońcem.

Blisko czoła lodowca Koerberbreen lodź wpływa między gęsto rozsiane podwodne skały przykryte teraz podczas przypływu wodą. Lawirujemy bardzo powoli i ostrożnie. Wreszcie lodź osiada łagodnie na miękkim piasku.

Nocujemy w namiotach na wybrzeżu. Budzimy się w południe następnego dnia i mimo nadal złej pogody udajemy się poprzez

łodowiec, ciągnąc mozolnie polarne sanie załadowane sprzętem i żywnością pod zachodnią flankę Hornsundtindu zwaną Bastionnen. Na lodowcu tej nazwy rozbijamy obóz. Jeszcze tegoż dnia wykonuję z Andrzejem rekonesans dla znalezienia drogi na szczyt.

Tak się jakoś składa, że śpimy i odpoczywamy w dzień, a działamy w nocy. Jest to o tyle obojętne, że teraz w lecie słońce kręci się nad horyzontem całą dobę, a "chodzenie" w nocy ma wiele zalet. Wtedy jest na ogół spokojniej, niższa i bardziej równomierna temperatura i lepsze warunki śnieżne.

A więc i tym razem budzimy się dopiero późnym popołudniem. Mimo, iż wiecór jest ponury i widoczność zła decydujemy się na rozpoczęcie wejścia. Spokój bowiem, który dziś panuje, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym, trafiającym się znacznie rzadziej, niż widok wierzchołka Hornsundtindu nie spowitego chmurami. Zwykle przez ten maszyn przewala się ze świstem wiatr — wróg, z którym trzeba się liczyć.

Postanawiamy nie brać namiotu. Przewidujemy raczej szybki wypad, może o pięć godzin dłuższy, niż gdybyśmy rozpoczęli go z przełęczą. Ryszard przygotowuje żywność na drogę, Andrzej filmy, ja sprzęt wspinaczkowy, a więc linę, haki, młotki i pętle.

O godz. 9 wieczór opuszczamy obóz i po pozostawionych dnia poprzedniego śladach pniemy się na ramię Bastionnen. Jest to duże ułatwienie, bo gdy tylko przewijamy się na drugą stronę grani stopy nasze zapadają się głęboko w śnieg na stromym stoku lodowca. Długim trawersem przechodzimy w milczeniu pod pionowymi ścianami Bastionnen. Widać tylko ich dolne partie. Wyżej objęła wszystko w posiadanie mgła.

— Cholera, nie trzeba was było słuchać!

— klnie Ryszard. — Teraz przydałyby się namioty. Moglibyśmy przeczekać niepogodę.

Mgła jest gęsta, wieje lekki wiatr i sypie śnieg. Raczej by nie marznąć w bezczynności, niż w przekonaniu o celowości tej pracy, kopujemy jamę w śniegu. Idzie to dość mozolnie. W końcu układamy się ciasno wewnątrz i parzymy na butanowej maszynie herbate.

Korzystając z chwilowego rozjaśnienia podchodzę w górę grzędą (rodzaj grani), a widząc, że wyżej jest lepsza widoczność wzywam towarzyszy. Zdecydowani próbować szczęścia, mimo niesprzyjającego zamglenia, zostawiają w jamie część sprzętu i filmów do 16 mm. kamery i dochodzą do mnie. Wiażemy się i wchodzimy w ścianę. Drogę zagradza nam od razu trudny próg skalny i wyżej przetykane lodem i śniegiem skały.

Andrzej idzie pierwszy. Spod jego czekana wylatują, spadając nam na głowy, lodowe bryły. Co dwa, trzy metry wbija haki. W miarę jak posuwamy się do góry robi się coraz jaśniej. Nagle zalewa nas oślepiająca biel.

Jesteśmy ponad opadającym powolnie mrozem mgieł, z którego niby biała zjawia się potężny maszyn Mehertenu, naszego sąsiada i będąca jeszcze w cieniu ściana, na której się znajdujemy. Słońce, wysuwając się zza krawędzi uskoku, rzuca światło na wygiętą łukowato ścianę Hornsundtindu.

Cieszymy się z przyjemnego figla, który splatała nam pogoda. Teraz dopiero widać dalszą naszą drogę. Znajdujemy się tuż przy uskoku grani, która wznosząc się dalej łagodnie składa się z olbrzymich, gęsto obok siebie sterujących turni. Pod turniami leżą gdzieś powiązane nikłymi białymi nitkami płyty śniegu, a poniżej — pas pionowej, gładkiej ściany. Bogatsza w śnieg par-

tia podszytowa wydaje się łatwiejsza. Nie widać natomiast możliwości dojścia do niej poprzez zerwy turni.

Trudności wspinaczki po ścianie zmuszają nas do wyjścia na urwistą grań. Przestrzeń pode mną jest imponująco urwista. Takiej ekspozycji nie widziałem w najbardziej stromej partii Alp. Przez dziwną studnię skalną spoglądam na północną ścianę, potem wrzucam kamień, aby przekonać się, czy nie uległem złudzeniu. Nie, kamień leci luźno w powietrzu około 300 metrów, później raz się odbija i niknie w dół.

Słońce dogania nas powoli, choć staramy się przed nim uciec. Boimy się, że dobry, twardy śnieg zmieni się pod wpływem ciepła słonecznego w lepką usuwającą się papkę.

Nieco wyżej, na śnieżnym ostrzu trafiam na niewielki otwór w śniegu. W chwili, gdy zbliżam się do niego jakiś cień przysłania słońce. To drapieżne ptaki fulmary (*Fulmarus glacialis*), latając nad naszymi głowami, bronią swych piskląt.

Trudności rosną. To zjeżdżamy 30 m. na linie, to znów po wbitych w szczeliny skalne hakach i powieszonych na nich pętlach wydostajemy się na następny wierzchołek. O 11 przed południem znajdujemy się na niezwykle stromych polach śnieżnych Hornsundtindu.

Widok wspaniały, zapiera dosłownie dech w piersi. Postrzępione chmury zwisają nisko nad ziemią, częściowo tylko przysłaniając fiord. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów widać doskonale delikatny rysunek olbrzymich lodowców Horna i Sammarina. Znane nam z poziomu fiordu szczyty są nie do poznania. Jakież małe, jak by rozgniecione. Pod nami Hornsundtind opada na trzy strony kilkusetmetrowymi pionowymi zerwami. Niżej majaczy jakieś pole śnieżne, ale i ono urywa się i niknie w otchłani lodowca Jacobstiegen, opadającego ku zachodowi. Górna część Jacobstiegen, oświetlona teraz jaskrawo, zawieszona jest wysoko na stokach Mehertenu. Wargi poprzecznych szczelin, oddalone są od siebie o dziesiątki metrów. Takich olbrzymów, przekraczających znacznie skalę alpejską, nie spodziewaliśmy się tu ujrzyć. Przewyższać je mogą tylko olbrzymie Himalajów. Majestatyczny Meherten wychodzi z mgły potężną piramidą.

Po piętnastu godzinach wspinaczki o dwunastej w południe stajemy na maleńkiej platformie szczytu. Czeką nas jeszcze długa i trudna droga powrotna.

JERZY PIOTROWSKI



Spotkanie z takim misiem nie zawsze kończy się przyjemnie



Mała foką opuszczona przez matkę świetnie sobie z butelki.

## Zyczenia składają...

Najlepsze życzenia wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku składa swoim klientom "CRINEX Ltda.", rua Diana, 103 - São Paulo.

Najlepsze życzenia wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku składa wszystkim znajomym i przyjaciółom — Sabina i Jerzy Świerczyński.

Maria i Mirosław Szabuniewiczowie przesyłają wszystkim przyjaciółom i znajomym najserdeczniejsze życzenie Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Stanisław Ossowiecki, życzy przyjaciółom, znajomym i klientom Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Tipografia ALADA Ltda. życzy Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Wesołych świąt i Szczęśliwego Nowego Roku życzy Ind. Com. ELEM Ltda.

Wszystkim przyjaciółom, znajomym i klientom ślemy najlepsze życzenia świąteczne i noworoczne — Mira i Tadeusz Sławiński.

Serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne przyjaciółom i znajomym składa Leon Kornhauser.

# SAM WŚRÓD LUDZI

JERZY SEMENIUK

Już od dwóch dni padał deszcz. Zimowy wiatr przeganiał nisko nad ziemią skłębione, pierzaste chmury. Rozkiszte drogi pokryły się grubą warstwą gęstego jak ciasto błota, a w dołkach potworzyły się głębokie kałuże.

Między jednym, a drugim nalotem kapuśniczku zdarzały się jednak krótkie przerwy. W takich chwilach każdy z okolicznych kolonistów narzucał na ramiona jakiś gruby łach i spieszył do pobliskiej wendy Kubikowskiego. Tam i pogadać jest z kim i czas prędzej zejdzie.

W wendzie już było gwarno. Zeszli się okoliczni sąsiedzi, nikogo prawie nie brakło. A ciągle jeszcze nadchodził ktoś spóźniony. Dzwoniły szklanki i wzmagał się gwar.

— W wasze ręce, kumie!

— Jeszcze po jednym?

— Ano, niech będzie.

— Nalewaj, Józiu! — wołano w stronę bufetu, za którym uwijał się jak w ukropie gruby Kubikowski. Gęba jaśniała mu uciechą, krzytał się żwawo, mimo dziewiędziesięciu kilo żywej wagi. Ale sam nie pił.

Kiedy go częstowano mawiał:

— Nie mogę, kumie, nie mogę. Niedźrów dziś jestem.

— Kto nie pali, nie zażywa, wiesz, Józiu, jak się nazywa? — wołano.

Kubikowski śmiał się z innymi, mrugając chytrze zatłuszczonymi oczkami i potrząsając małą w stosunku do tułowia głową.

W kącie, oparty plecami o ścianę, siedział Bornicki. Czarna, kędzierzawa, ze trzy miesiące nie strzyżona szczecina opadała mu na kołnierz rozchełstanej i brudnej koszuli.

Wypita przed chwilą szklanka pingi nastroiła Bornickiego melancholijnie. A po prawdzie to i miał co myśleć. Na wsi szalala zaraza wśród nierogacizny. Bał się, że nie ominie i jego kilkunastu świń. Już hula przecież na całego u sąsiadów. Nad zagrodą Józefa Bratki po całych dniach krzątał sępy. Bo, i kóżby zakopywał zdechłe świnię? Korwy raz dwa zeżrą ścierwo. Tyle ich lata. Czasem kiedy jakiś łobuz spłoszy stado to od ich skrzydeł powstaje taki szum jak by wicher po lesie tańcował.

## KONKURS

Administracja "Przeglądu Polskiego" ogłasza wielki konkurs na werbowanie nowych prenumeratorów.

KTO ZWERBUJE TRZECH NOWYCH PRENUMERATORÓW otrzyma w nagrodę piękną książkę polską, którą sam sobie wybierze z nadesłanej listy książek.

Czytelnicy, weźcie udział w konkursie! Zwiększając liczbę prenumeratorów naszego pisma przyczyniacie się do jego rozwoju. Im więcej prenumeratorów tym lepsze i wartościowsze będziecie otrzymywać pismo.

Konkurs nasz zamykamy z dniem 30 czerwca 1962 r. Kto do tego terminu dostarczy największą ilość prenumeratorów ten otrzyma specjalną nagrodę. A jaką? To tajemnica.

O wynikach konkursu będziemy informowali w każdym numerze "Przeglądu Polskiego".

Ogromnie się zafrasował Bornicki. Az mu się z głębi serca wyrwało:

— Oj, co to będzie!...

— A co ma być?

— Ano, jak mi chudoba pozdycha.

Wszyscy spojrzeli po sobie i gwar trochę ustał. Wiedzano, że Bornicki nie był zamożny. A jak czasem zaszedł do wendy to w tajemnicy przed babą, nie lubił jak lamentuje.

— Może byście się obejrzeni za raciną (szczepionką)?

— Już mi tam nie gadajta o tym! Ja w te "oleje" nie wierzę. O, sąsiad Józef racinował świnię. I co, u niego najpierw zdychają.

Józef Bratka, który najmniej pił z całej kompanii, bo kaszasa mu szkodziła, potwierdził.

— Nic nie pomaga ta racina. Ale co racina! Już ja nawet kurandejra sprowadziłem, którego laził z żagwią po całym obejściu i nawet chore świnię jakimś paskudnym zieleńcem okadzał. Nic nie pomogło.

— A może racina nie była dobra, albo możesta za późno szczepili?

— Jak nie była dobra? Szczepiłem będzie tydzień temu. O, jeszcze mam w kieszeni papirek, co był w pudełeczku. Wyraźnie tu stoi: "racina contra batadeira dos leitões" 1). A przecież leitão to też świniak, nie?

Gwar się wzmógł, wewnątrz sklepu huczało głosami. Trudno już było odróżnić poszczególne zdania. Gienek Bratka, leżący pod ścianą na ławie, zaczął ciskać przez sen. Temu to nie trzeba było dużo. Zalewał się jedną szklanką. Całe jego szczęście, bo kredytu u Kubikowskiego nie miał, a jak chciał wypić to już musiał na czyjś rachunek.

— Patrzcie-no, — powiedział Kubikowski — profesor idzie.

Ten i ów spojrzął w okno. Wolno, samym brzegiem drogi szedł w stronę wendy miejscowy nauczyciel, Borysiuk. Był to młody jeszcze człowiek, szczupły o jasnych, nieufnych oczach. Z ludźmi mało się zadawał. Nie szukał ich, ani nie unikał specjalnie. Czuł, że kępuje ich swoją obecnością i sam nie wiedział o czym z nimi mówić. Wolny czas wołał zapęlniać czytaniem książek i gazet. I tak powoli pomiędzy nim, a kolonistami zaczął wyrastać mur. Chociaż nie można powiedzieć, żeby nie był uczynny. Jak go ktoś poprosił to mu policzył arroy 2) sprzedanych świń albo polegady 3) przycięte w tartaku.

— Jego się spytajmy wedle tej raciny. On wie, cholewa, — poddał ktoś myśl.

— Poczestujmy go pierwej — zaproponował złośliwie Józef Bratka.

— Kiedy on nie pije.

— To nic, aby dla śmiechu...

Nauczyciel wszedł do sklepu i od razu zapytał Kubikowskiego o jakiś sprawunek. Widać było, że nie zamierza się długo zatrzymywać.

— To i pan profesor zaszedł dziś do wendy — zapytał Józef Bratka. — To może się pan z nami napije? Na zdrowie...

Ze stojącej na bufecie butelki nalał pełną szklankę i podsunął nauczycielowi.

— Dziękuję, przecież wiecie, że nie pije.

— Jak to? — zawołał Bratka. — To profesor nie chłop? Bo chłop, wiadomo, pić musi.

Kolonisci roześmieli się. Bardzo im przypadł do gustu żart Bratki.

Nauczyciel zacerwienił się, chciał już odpowiedzieć ostro, nie dawał sobie bowiem dmuchać w kaszę, ale w tejsze chwili rozległ się z tyłu jakiś podejrzaný hałas. To Gienek Bratka zwałił się z ławy na zdeptaną podłogę i zaczął wymiotować. Wszyscy patrzyli na to widowisko ze złośliwą satysfakcją w oczach i tylko Józef Bratka powiedział cicho:

— Oj znów Gienek sam do domu nie zajdzie. Będzie musiała bratowa z dziećmi przyjść po niego.

Tymczasem nauczyciel uregulował rachunek i zabierał się do wyjścia. Bratka go zatrzymał.

— Chciałbym, żeby pan profesor powiedział, czy to je dobra dla świń ta racina.

Nauczyciel rzucił okiem na podany papirek, sprawdził datę fabrykacji i termin ważności.

— Pewnie, że dobra. Dopiero przy końcu roku mijają termin ważności.

A Bratka zwracając się do wszystkich zawołał:

— O, widzi! Racina pono dobra, a mnie świnię zdychają.

— Ale, panie Bratka, — dodał pospiesznie nauczyciel — to jest szczepionka od batadejry prosiat, a wam świnię zdychają na peste aftosa. 4).

— A to jak? — powiedział Bratka i tryumf w jego oczach przygasł.

— A tak, ludzie, tak. Od każdej choroby inne lekarstwo potrzebne.

— A to jakiej by raciny potrzeba?

— Skoro już świnię są chore to szczepionka nie pomoże. Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć. Teraz już za późno — powiedział z satysfakcją nauczyciel.

Na twarzach kolonistów osiadła chmura. I stała się rzecz niebywała. Oto napelnione od chwili szklanki stały niektnięte na bufecie.

Nauczyciel odczekał chwilę, zabrał swój pakunek i wyszedł. Nawet Kubikowski nie starał się go zatrzymać. Kolonisci patrzyli jak odchodzi, w oczach ich kryła się niechęć.

Zmierzało się, choć przez chmury nie widać było zachodu słońca. Deszcz przestał padać, tylko z dachu kapaly pojedyncze krople. Jutro można będzie wyjść do codziennych zajęć.

— Ale na drugi rok — powiedział Bratka — to, wiecie, wartaloby się obejrzyć za raciną.

Na to podszedł do lady chwiejnym już krokiem Bornicki, wziął napelnioną szklankę do ręki.

— Napijmy się, kumie. Trza skończyć z tym, co nalane. A z tą raciną dajcie sobie spokój. Szkoda pieniędzy.

Pinga zabalgotala mu w gardle.

Trwała cisza, przerywana tylko pobrzakiwaniem pustych flaszek, które Kubikowski ustawał pod bufetem i chrapaniem leżącego pod ławą Gienka Bratki.

UWAGI:

- 1) Szczepionka na biegunkę prosiat.
- 2) 14,5 kg.
- 3) Cal.
- 4) Różycy świni.

# DIAMENTY I ZŁOTO W BRAZYLII

Paweł Nikodem i Pinior



Tak się przemycalo złoto i diamenty w dawnych czasach w Brazylii.

## DIAMENTY I KARBONATY

Jak poznać diament wśród tylu kamyczków?

Pomocna tu jest przede wszystkim praktyka. Na ogół jednak nie jest to trudna sztuka. Kto raz widział kryształ diamentu rozpozna go potem łatwo. Ma on swoisty jak by tłusto-srebrny blask. Wewnętrzny ogień kamienia wydobywa się na zewnątrz dopiero po oszlifowaniu.

Obok diamentów czystej wody trafiają się diamenty brunatne t. zw. karbonaty, posiadające również wartość. Stosowane są do celów przemysłowych, cięcia stali, wiercenia twardych skał przy poszukiwaniach ropy naftowej itp.

Diament i karbonat są najtwardszymi znanymi minerałami. Zapotrzebowanie na nie stale wzrasta. Nic więc dziwnego, że zbiera się diamenty, choćby ziarenka ich nie przekraczały główki od szpilki.

## Z PRZESZŁOŚCI

Brazylia dostarczała wiele złota i diamentów, więcej w przeszłości, niż obecnie. Gdyby nie te szlachetne minerały wyżyna centralna kraju nie była by do dziś zamieszkała, jak do dziś pustą jest Amazonia.

W stolicy stanu Goiás — Goiani — wzniesiono pomnik ku czci pierwszych mieszkańców tych okolic, zwanych *bandeirantami*.

Na wysokim cokole z granitu wykuto postać bandeiranta gojańskiego i bandeiranta z Minas Gerais. Na świadectwo swych czynów trzymają w prawej ręce strzelbę, a pod lewym ramieniem nieckę płuczkarską.

Gdy bandeiranci portugalscy nadciągnęli z ówczesnego São Paulo i znaleźli się na ziemi Goiás i Mato Grosso, odkryli dziewicze złoża napływowe złota, o których dowiedzieli się od Indian. Do wydobywania skarbów używali niewolników.

Jeden ze strumyków w tamtych okolicach, na brzegach którego napotkać można ślady wielkich płuczek, nazywa się *Meia Aroba*. Podać głosi, że ta dziwna nazwa pochodzi od pamiętnego zdarzenia. Bandei-

ranci mieli tam bowiem znaleźć bryłę złota czyli t. zw. *pepite* wagi pół aroby tj. siedem i pół kilograma.

Starzy ludzie w Cuiabá i w São José do Tocantins twierdzą, że dość było wyrwać garść trawy w stepie, aby znaleźć przyczepione do korzeni okruchy złota.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w czasach kolonialnych Brazylia obfitowała w złoto. Świadczy o tym fakt, że ważono je na aroby.

Historycy obliczają, że wiele setek arob wywieziono z Goiás do Lizbony w ciągu stu lat eksploatacji złotonosnych pokładów.

Piąta część wywożonego złota należała do króla i była pobierana w postaci podatku zwanego *quinto real*.

## GARIMPERSKIE SPOSOBY

Prócz płukania stosowali jeszcze i stosują garimpejry inne sposoby wydobywania złota i diamentów.

Bandeiranci, posiadający wielu niewolników, odwracali bieg rzek albo też sprowadzali wodę do swych odkrywek z daleka kopiąc specjalne kanały kilometrowej długości.

Dzisiaj postępuje się bardziej racjonalnie. Gdy gromada płuczkarzy znajdzie potok odpowiedni do eksploatacji stara się przede wszystkim zgromadzić żwir w kilku stosownych miejscach, w myśl zasady, iż nie należy się tłuc z sitami i nieckami z kąta w kąta kiedy doba bieżąca jest doba fabryk i pośpiechu.

Jak doprowadzić do tego, aby żwir zgromadził się w strumieniu tam właśnie gdzie żyją sobie garimpejry?

Poszukiwacz diamentów i złota przygotowuje się do tego w suchej porze roku od maja do września.

Łożysko potoku oczyszcza z wszystkich większych kamieni i pozostawia tylko żwir. Później w obranych miejscach, co kilkaset metrów, stawia zapory z dragów, przy których gromadzi się żwir. Podobne to jest do budowania prymitywnych tam.

Piasek przepłukuje się nie w sitach i batejach lecz w korycie wyłożonym włochatym sukniem, przez które przepływa strumień wo-

dy. Żwir spływa, a złoto zatrzymuje się na suknie.

W Minas Gerais spotyka się potoki głęboko wciśnięte w ziemię co łożysku tak wyślizganym jak jezdnia z ubitej gliny. Woda zmyła tam wszystkie piasek, a pousuwane na boki kamienie tworzą na obu brzegach prawdziwe mury.

## KAPRYSY LOSU

Poszukiwanie diamentów i złota można przyrównać do gry na loterii. Na stu garimpejrowi kilkunastu odbierze włożoną stawkę. Co tysięcznemu szczęści się lepiej, a jeden na kilka tysięcy dorabia się majątku.

Reszta prowadzi marny żywot, spodziewając się wielkiej wygranej (*sorte grande*). Wielu garimpejrowi, choć porzuciło już zwodniczą nadzieję, nie może wyrwać się z lasów, gdyż nie ma za co wrócić w rodzinne strony.

Kruszce szlachetne czynią człowieka zaboronnym. Niejeden garimpejro jest święcie przekonany, że diament jest istotą żywą, mającą kaprysy: jednego unika, a drugiemu sam wpada w ręce.

W długie wieczory po robocie garimpejry opowiadają sobie niesamowite zdarzenia. Prawdziwe przejęcia przeplatają się tam z baśnią.

## CZY MOŻNA WYŻYC Z PŁUKANIA?

Legendy są rzeczą piękną. Życie cygańskie w płuczkach ma swój urok. Ale czy garimpejro potrafi się utrzymać ze swego zawodu?

Znam dwóch Polaków znad rzeki Tibagy. Ludzie pracowici, synowie osadników, opanowani żądzą garimpu. Każdy miał inną specjalność: jeden poszukiwał diamentów w rzekach, drugi — złota w potokach. Działano to przed drugą wojną światową.

Pierwszy wydobywał przeciętnie jeden diament tygodniowo, *chibiosinho*, jak mówią tubylcy. Dostawał za ten kamyk 50 milrejsów, czyli trochę więcej, niż zarabiał wówczas robotnik niewykwalifikowany.

Drugi opuszczał rodzinę na szereg dni, aby przemierzać stępy i przepłukiwać potoki. Miał konia, zabierał z sobą żywność. Po tygodniu wracał przeważnie z pięcioma gramami złota w szklanej probówce, co mu dawało 65 milów.

Były to czasy ciężkie dla rolnictwa. Ceny na produkty rolne spadały, zbyt ich był utrudniony. Obaj nasi garimpejry byli więc ze swego zawodu zadowoleni.

W Tibagy poznałem liczną rodzinę polską, Ternów z Araukarii. Cztery bracia Ternonowie poženili się z Brazyliankami, trudniąc się garimpowaniem, ciesielką i rolnictwem, stosownie do pory roku i koniunktury gospodarczej. Jakub Terna całe życie strawił na płukaniu złota w potokach między Tibagy, a Reserva. Był to urodzony gawędziarz.

Nie ma większej przyjemności dla człowieka z miasta jak rozmowa z płuczkarzami. Znają oni z doświadczenia lepiej geologię terenu niż geologowie z opisów i książek. Według nich pokłady napływowe, w których spotyka się dużo kamyczków zwanych satelitami, obfitują najbardziej w diamenty.

Im teren jest więcej sfaldowany tym bogatszy urobek.

Diamenty z Tibagy są drobne, ale czystej wody, bez skaz i zanieczyszczeń, co powoduje, że szlifierze z Rio de Janeiro chętnie je nabywają. Większe kryształy trafiają się rzadko.

Doskonałe też bywają karbonaty z tych okolic o ciężarze gatunkowym 3,30 i tak twarde, że kruszą rowki w pilniku. Naczenie pośledniejsze są karbonaty z Bahía, o ciężarze gatunkowym 3,50, zanieczyszczone, i wskutek tego łupliwe, co obniża ich wartość.

Zarówno diamenty, jak i karbonaty posiadają szczególną właściwość. Woda do nich nie łączy. Wyjęte z wody wyglądają jak by nigdy w niej nie przebywały. Karbonat to kamień ciemnowy o połysku srebrnym, z wierzchu porowaty jak brodawka.

(C. d. n.)

# FORT CALOUX

STANISŁAW KOSZUTSKI

**W pierwszej połowie września r. 1944 Pierwsza Dywizja Pancerna w błyskawicznym pościgu wkroczyła do Belgii i zajęła zachodnią Flandrię, zdobywając miasta Tielt, Roulers i Ypres.**

**Owacyjnie witane w Gandawie wjechały oddziały pancerne na kwietne pola między St. Nicolas i Beveren Waas aż do Antwerpii, po Skaldę.**

Pijani byliśmy sukcesem i winem, pocałunkami kobiet, szaloną radością wyzwolanych Belgów, owacjami tłumów.

Na wieżach kościołów powiewały biało-czerwone chorągwie, do złotych ksiąg miast wpisywano nazwy pułków.

Nie ustawały jeszcze strzały na przedmieściach zdobywanych miast a już na rynku grała orkiestra i tańczono w lokalach. Ludność organizowała bale, a groby poległych tonęły w kwiatkach. W kościołach modlono się spontanicznie i serdecznie za Polskę i Polaków. Byliśmy dumni z siebie i z ducha Belgii.

Były to dni, na które żołnierz czekał długo i które przekroczyły jego marzenia. Wydawało nam się wówczas, że "wielki polski duch stał się widomy" w nas, którzy "byliśmy pierwsi żołnierze sławni Europy".

Każde z wyzwolanych miast chciało mieć swoich Polaków. A więc Gandawa przychołubiła 24 Pułk Ułanów, St. Nicolas — 1 Pułk Pancerny, Ypres — 8 Batalion Strzelców, a Beveren Waas — 2 Pułk Pancerny.

Nie wiem dokładnie jak nawiązały się przyjaźnie tamtych oddziałów ze swymi miastami i jaka była historia ich wyzwolenia. Mniejsza zresztą z tym. Jeżeli natomiast chodzi o Beveren Waas to chociaż miasto to rości sobie na gwałt pretensje, że zostało wyzwolone przez 2 Pułk Pancerny, trudno nam się do tego przyznać z ręką na sercu.

Faktem jest bowiem, że przy okazji "wyzwalania" Beveren Waas 2 Pułk Pancerny nie oddał ani jednego strzału, nie przelał ani jednej kropli krwi i nie zabił ani jednego złego boche'a. Po prawdzie nie byliśmy tam nawet pierwsi. Przed nami wjechał do miasta pijany motocyklista kanadyjski, który zmylił drogę i przed którym uciekł ostatni patrol niemiecki. W ciągu dwóch, czy trzech następnych godzin nie było w Beveren Waas nikogo i dopiero później wkroczył tam 2 Pułk Pancerny.

Taka jest prawda o wyzwoleniu Beveren Waas, jeżeli jednak Beveren uważa nas za swoich "liberatorów" to niech mu to będzie na zdrowie. Nie zamierzamy przeciw temu oponować, gdyż Beveren Waas stało się drogim każdemu żołnierzowi pułku z powodu okazanej i do dziś okazywanej przyjaźni, serdeczności przyjęcia i gościnności.

Jako symbol swych uczuć Beveren Waas ofiarowało 2-mu Pułkowi Pancernemu sztandar. Herb na tym sztandarze jest wyhaftowany złotymi nićmi i złota nić przyjaźni nas wiąże, poślubiło to pułk z miastem i my chcemy mu być wierni.

Choć historia stosunków pułku z Beveren Waas nie jest historią rzeczowistą "krwi i chwały", a raczej historią dobrego wina i romantycznych zdarzeń to jednak pobyt w tym

mieście przysporzył pułkowi zaszczytu przez oficjalną wzmiankę o dokonaniu niebylejakiego czynu — zdobyciu silnego fortu Caloux, w którym Niemcy strzegli ujścia rzeki Skaldy na lewym jej brzegu.

A było to tak:

Pierwsza Dywizja Pancerna otrzymała zadanie wyrzucenia Niemców do morza z rejonu Gandawa-St. Nicolas i oczyszczenia w ten sposób ujścia Skaldy dla uruchomienia portu w Antwerpii. W wykonaniu tego zadania 24 Pułk Ułanów oczyścił resztę Gandawy i większość dywizji rozpoczęła działanie w kierunku północno-wschodnim nacierając na holenderskie miasta Axel i Hulst". Pułk Pancerny otrzymał zlecenie osłony prawego skrzydła dywizji w rejonie Beveren Waas w kierunku Antwerpii i północnego wschodu.

Zadanie nasze nie było ciężkie. Jak się rzekło do Beveren weszliśmy bez strzału, a Niemcy zamknęły się naprzeciw w forcie Caloux. Fort ten był nie do rozgryzienia przez jeden pułk pancerny, a my za mocni, aby Niemcy mogli się pokusić o jakieś aktywniejsze działanie.

Na początku po wzajemnym rozpoznaniu dla dodania otuchy okolicznym mieszkańcom i treningu nowych załóg biliśmy codziennie granatami po forcie. Niemcy odpowiadali tiukąc z moździerzy i kilku dział po stanowiskach szwadronu służbowego i przedmieściach Beveren. Przyszedł rozkaz oszczędzania amunicji. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że kiedy my przestaliśmy strzelać Niemcy rycersko przerwali również ogień.

Stanała jak by niepisana umowa rozejmu i cała zabawa polegała na patrolowaniu i polowaniu na głodnych Niemców, którzy wypuszczali się czasem z fortu na naszą stronę po żywność. Wszyscy byli zadowoleni z takiego stanu rzeczy z wyjątkiem małego 13-letniego Belga, Józefa Z., który wychodził z siebie, aby nas zagrać do jakiegoś bardziej dynamicznego działania.

Chłopak wziął na siebie na ochotnika rolę rozpoznawania stanowisk niemieckich i przynoszenia wiadomości, sądząc prawdopodobnie, że są one olbrzymiej doniosłości.

I miał stalowe nerwy ten chłopak. Dwa razy złapany przez Niemców cudem uniknął śmierci, gdy rewidując go nie znaleźli ukrytego w bucie wykonanego przez niego szkicu ich ugrupowania bojowego.

Donosił nam o ruchach niemieckiego zaopatrzenia, zmianach stanowisk dział i czołgów oraz o szczegółach życia po drugiej stronie. Józef szalał, błagając byśmy strzelali według jego wskazówek, niosąc zagładę znieprawidzonym boszom. Kto jednak chciał słuchać Józefa?

Beweren szalało również wydając bale na naszą cześć. Codziennie po knajpach grały orkiestry i odchodziły dancingi. Przyjęcia, party i obiady nie kończyły się. A co się działo na kwaterach? Kto miał ochotę wtedy wojować na ostro z Niemcami? Wojaczka mogła poczekać — pułk zbierał chwilowo same wawrzyny.

I tak minęło dni siedem. Dywizja w międzyczasie sforsowała kanał Axel-Hulst, i wyrzuciła ostatecznie Niemców z zachodniej Belgii i północno-wschodniej części Holandii. Skrwawili się na przeprawie dragoni. 9 Batalion Strzelców zdobył holenderskie miasto Axel. 10 P. S. K. w pościgu dosłownie wrzucił Niemców do morza, zdobywając nawet jakiś okręt. A my tymczasem toniliśmy w pierzynach Beveren...

Wszystko jednak ma swój koniec.

Pewnego dnia o świcie przyszedł do dowództwa pułku rozgorączkowany Józef Z. wołając: "Les boches sont partis. Je les vu partir!" 1)

Bravo Joseph!

Zaalarmowałem szwadron pogotowia, sam wsiadłem do scout-caru i w pół godziny ruszyliśmy pod Caloux sprawdzić co się tam dzieje.

Meldunek młodocianego wywiadowcy był prawdziwy. Kiedy zbliżyliśmy się do fortu powitało nas milczenie. Natknęliśmy się jedynie na miny i barykady drogowe. Po usunięciu ich weszliśmy do fortu — był pusty. Niemcy pozostawili sporo amunicji i trochę ciężkich dział oraz połamanych wozów, cofając się najwidoczniej w pośpiechu na północ. Posunęliśmy się za nimi dwa lub trzy kilometry i wreszcie utknęliśmy w wodzie.

(Dokończenie na str. 14 — 15)

# TAJEMNICA IGARAPÉ

ANDRZEJ ZAWROTNY

I.

Plusk wody uderzonej wiosłem zmącił ciszę spowitej skwarem puszczy. W wodzie drgały długie cienie drzew. Srebrzysta powierzchnia lśniła drobnymi skrami lekko pomarszczonej fali. Puszcza zda się zamarła pod wpływem upału spływającego nieustanną strugą z rozżarzonego do białości nieba. Z głębi dżungli wionęło ledwo wyczuwalnym chłodem pomieszanym z wilgocią i tchnęło zapachem miliona butwiejących liści. Zapach niekiedy był tak silny, że przyprawiał o mdłości.

Uziembło, wycierając spoconą twarz, powiedział z wymówką do Słupeckiego:

— Na diabła przywlekliśmy się tutaj? Co nam to da właściwie?

— Co? — westchnął Słupecki, machając wiosłem. — A wrażeńia.

— Tfu! — splunął Uziembło.

Sapał ciężko, nie mogąc znaleźć dosadniejszego słowa na wyrażenie niezadowolenia. Ta bezradność skłaniała go do nerwowego kręcenia się na dnie indiańskiej u b y .

— A niech to piorun strzeli! Mam już dość. Zawracajmy.

Odebrał wiosło Słupeckiemu, ale zamiast zawrócić wiosłował dalej w kierunku pierwotnie obranym. *Uba* sunęła chyżo po gładkiej powierzchni rzeki, kryjąc się od czasu do czasu w gęstym cieniu omszałych konarów lasu galeriowego.

Na lewo, niknąc w mroku gęstwiny, ukazała się wąska boczna odnoga. Było to znane *garimpeitrom igarapé*. Łódź dała nura w ciemny tunel zarośli. Ludzie pochylili głowy, aby uniknąć zderzenia z ciężkimi nawisami gałęzi. Mroczno tu było, niemal jak w piwnicy. Leżący na dnie *uby* pies, nie przejawiający dotychczas żadnego zainteresowania otaczającą go dżunglą, podniósł łeb i warknął z cicha. Słupecki rozejrzał się baczenie i ujął strzelbę. Uziembło zatrzymał wiosło.

— *Onça*? — zapytał szeptem.

— Być może. Choć nie bardzo w to wierzę.

Pies znowu warknął.

— Coś tam jednak musi być — powiedział Uziembło.

Wparli *uby* w niewielką wyrwę w zaroślach i dobili do brzegu. Pierwszy wyskoczył pies i utonął zaraz w gęstwinie. Za nim podążył Słupecki, ściskając mocno w garści gotową do strzału strzelbę. Cisza, którą tchnęła

*selwa*, była niedobra i prawdę mówiąc, szczerze się jej bał. Zdawało mu się, że lada chwila może na niego skoczyć z pochyłego drzewa drapieżna *onça* albo zsunąć się *sucuri*.

Szli za psem. Uziembło gwizdnął dwukrotnie, ale zwierzę się nie odezwało. Przebyli może z pięćset kroków, gdy niespodziewanie dobiegło ich z prawej strony ujadanie psa. Można było wnioskować, że spotkanie nie musiało być groźne. Szczekanie było na to zbyt spokojne i niezdecydowane.

Pobiegli tak szybko jak na to pozwalała wąska ścieżka leśna. Słupecki potknął się dwukrotnie i omal nie wyrzucił głową w pień, a Uziembło zaplątał się w liany i byłby upadł gdyby nie pomocna ręka przyjaciela. Kiedy zdawało im się, że są już niedaleko huknął raptownie strzał i szczekanie ucichło.

Zdumieni się; byli jak najbardziej pewni, że prócz nich dwóch, nikogo nie ma w *selwie*. Nie przypominali sobie, żeby którykolwiek z *garimpeitrow* udał się na polowanie. Była dziś niedziela, a w niedzielę ludzie woleli spędzać czas w barze przy grze w karty lub w ruletkę.

— Co z psem?

Słupecki złożył już usta do gwizdnięcia, gdy powstrzymał go Uziembło.

— Daj spokój. Nie przywołasz swojego Nera i zdradzisz naszą obecność.

— Myślisz?...

— ... że strzał, który słyszeliśmy skierowany był do psa i musiał być skuteczny, bo pies zamilkł natychmiast.

Tak, to było prawdopodobne. Ale kto to zrobił i pogo?

Posuwali się teraz jak najciszej i ostrożnie. Wkrótce natknęli się niespodziewanie na kałużę krwi u stóp wyniosłej *peroby*. Suche liście na ziemi były stratowane, a gałązki drobnych krzewów połamane.

Przyjaciele spojrzeli na siebie. Nie tyle dziwił ich strzał do psa ile fakt, że nie znaleźli trupa biednego zwierzęcia. A może pies był tylko ranny i uciekł? Ale przecież zaskowyczałby wówczas.

Dokładne przetrząśnięcie najbliższego terenu w promieniu kilkudziesięciu metrów nie przyniosło rezultatu. Nieznany strzelec umiał się doskonale maskować. Umiejętność tę posiadają jedynie dzicy synowie puszczy. Przypuszczenie to napelnilo przyjaciół niepokojem. Kto mógł zaręczyć, czy zabójca psa nie stoi w tej chwili za drzewem i nie mierzy do nich z karabinu.

— Późno już — powiedział Uziembło — wracajmy do domu. Nic tu więcej nie zwojujemy.

Słupecki był tego samego zdania. Zawrócili więc pospiesznie nad *igarapé*. Spotkała ich tu

niemiła niespodzianka. *Uba* znikła. Zaczeli gorączkowo przeszukiwać najbliższe zarośla. Nic, jak kamień w wodę!

— Przypominam sobie dokładnie, że łódkę przywiązałem do tego pnia — powiedział Słupecki.

— Pst! — szepnął Uziembło. — Słyszysz ten szelest? Ktoś się skrada.

Z puszczy dochodził ledwo dosłyszany szmer. Mógł to być lekki powiew wiatru w ko-

narach drzew lub szum rzeki. Poprzez owe monotonne dźwięki przebiegały się słabe pacnięcia.

Palce Uziembły zacisnęły się kurczowo na ramieniu przyjaciela.

— Słyszysz?

Słupecki nie słyszał nic szczególnego. Przecież niepokój Uziembły i jemu począł się udzielać.

Szli spiesznie brzegiem *igarapé*, z bronią gotową do strzału.

## Fort Caloux

(Dokończenie ze str. 13)

Odchodząc Niemcy otworzyli bowiem śluzy na kanałach i zalali wszystkie drogi i pola na obszarze dziesiątków kilometrów kwadratowych. Nie było możliwości ścigać ich dalej. Pozostawiłem szwadron pancerny w formie i wróciłem do Beveren, gdzie wiadomość o wycofaniu się Niemców z Caloux rozeszła się błyskawicznie. Ludność wiwatowała znów na naszą cześć, sądząc pewno, że Niemcy uciekli ze strachu przed nami.

Nie obeszło się bez tradycyjnego szampana i damskich uścisków, tak że wróciłem na kwaterę dobrze podchocony, a ponieważ miałem jeszcze sporo roboty poleciłem swemu zastępcy złożyć meldunek sytuacyjny do dowództwa brygady o wycofaniu się Niemców.

— Edziu, — powiedziałem do kapitana U. — muszę zaraz jechać na przedpole Antwerpii, proszę cię więc wysłać meldunek sytuacyjny sam.

Po czym, będąc w nienajgorszym humorze, dodałem:

— Jeżeli chcesz możesz go nadać po *bohatersku*, bo w górze napewno już o nas zapomnieli. Nie lżyj jednak za bardzo.

Kapitan U. był to chłop skrupulatny i inteligentny. Byłem pewien, że meldunek jego będzie do rzeczy i w porządku. Kiedy wieczorem wróciłem z objazdu odcinka nawet nie zapytałem o i jak nadał. Nazajutrz pojechałem na odprawę do dowództwa brygady.

Wszystkiego się mogłem spodziewać tylko nie tego, że wszyscy zaczną mi składać gratulacje. Jakoś nie mogłem się w tym połapać.

— O co wam chodzi? — pytam. — Czego mi gratulujecie? — No, przecież zdobyłeś Caloux, — powiedział major Czarnecki. — Wyczyn piękny, gdyż fort był silny i trudny do zdobycia. Więcej, niż batalion Szwabów i ze dwadzieścia dział. Pułk rażno się z tym uwinął, a my myśleliśmy, że trzeba będzie montować duże natarcie.

Zrobiło mi się trochę nieswojo.

— Ach, rzeczywiście, — odparłem. — Nie ma o czym mówić. Ale dziękuję w imieniu pułku za gratulacje.

— Co za diabeł — myślę — ubrał mnie w tę historię?

I chcąc dociec wątku poszedłem do oficera operacyjnego, aby wybać delikatnie co i jak się stało.

Na stole w pliku wczorajszych meldunków sytuacyjnych zobaczyłem czarno na białym:

"2 P. Panc. 16. IX. 1944, godz. 08.00. Dziś po sześciogodniowym oblężeniu zdobyłem Caloux. O godz. 05.00 1-szy szwadron wszedł do fortu. Nieprzyjaciel w poplochu ucieka na północ, wysadzając tamy i śluzy. Ścigam. Na drogach miny i barykady. O godz. 07.00 osiągnąłem skrzyżowanie dróg 3721-4832. Dalsze posuwanie bardzo utrudnione wskutek zalewów. Cały rejon pod wodą do wysokości jednego metra. W formie zdobyłem cztery ciężkie działa 155 mm, kilka wozów i dużo amunicji. Podpisane: Dowódca 2 pułku panc."

A to dopiero ten kapitan U. ! Taki bestia nadał fonogram! Zrozumiałem teraz czemu mi gratulują. Sam bym sobie powinszował.

Było mi jednak wstyd zbierać pochwały za czyn co najmniej przesadzony w opisie. Postanowiłem to wyjaśnić dowódcy brygady. Aby się jakoś móc wytłumaczyć przeczytałem ten mój meldunek ponownie, jeszcze raz i jeszcze raz i... doszedłem do wniosku, że jest jak najzupełniej w porządku. Cóż bowiem było w nim nieprawdziwe lub przesadzone?

Naprzód pompatycznie słowo: *oblężenie*. Fakt jednak, że Caloux było przez nas oblegane przez sześć dni, a więc o. k.

Zdobyciem. Jeżeli Caloux było oblegane to formuła *zobyciem* jest słuszna.

(Dokończenie obok)



Nieprzyjaciel ucieka w popłochu. — Absolutna prawda! Porzucony sprzęt i amunicja i brak jakiegokolwiek oporu świadczą o popłochu i ucieczce.

Seigam. Moje działanie było właśnie pościgiem. Zdobyłem działa itd. Święta prawda.

Edzio nic nie zełgał. Nadał prawdziwy i prawdziwy meldunek sytuacyjny.

— A jednak — pomyślałem — mógł przecież zameldować tak:

“Dziś w nocy Niemcy opuścili w pośpiechu fort Caloux i odchodzą na północ. Wysłany szwadron wszedł do fortu o godz. 05.00 bez oporu, po czym posunął się w kierunku płn. wsch. O godz. 07.30 szwadron osiągnął punkt 3421-4832. Na drogach miny i barykady. Dalszy ruch niemożliwy, ponieważ Niemcy przerwali śluzę i tamy — droga zatopiona. Cały obszar... pod wodą do głębokości jednego metra.

I jeden i drugi meldunek opisywał dokładnie jedno i to samo. Obydwa oddawały istotny stan rzeczy, a jednak...

I tak się układa historię! Ton, wyraz, wykrzyknik, temperament informatora i fakty uzyskują światła i cienie upiększające lub powiększające, wykrzywające lub pomniejszające rzeczywisty obraz wydarzenia tak, iż jego współtwórcy i uczestnicy sami go nie poznają, ani też nie znajdują w nim siebie.

Biedne te dzieci, którym każemy uczyć się historii!

Czy to jednak ważne?

Grunt, że zdobyliśmy Caloux.

## Tajemnica Igarapé

(D. c. ze str. 14)

2.

Cały następny dzień włóczyli się po Buraco do Diabo. Wędrując od płuczki do płuczki nagabywali garimpeirów o postęp w pracy. Gadali też o konieczności sprowadzenia lekarza, gdyż ten i ów z poszukiwaczy diamentów zapadał na chorobę. Była to albo malaria, albo też zwykły reumatyzm, którego się nabawiali babrząc się stale w wodzie. Prowadząc owe niewinne, ich zdaniem, rozmowy starali się wybadać, czy ktoś nieznanymi przebywa w okolicznej puszczy, ściślej zaś w pobliżu fatalnego igarapé.

Większość garimpeirów składała się ze zwykłych kabokli, a jak wiadomo, kaboklo poza celem, dla którego trzyma się w określonym miejscu, niczym się więcej nie interesuje. W tym wypadku cała jego uwaga skierowana była na żwir zalegający dno rzeki. Dodatkowo zainteresowania stanowiły: gra w karty i ruletka.

Nic tedy dziwnego, że otrzymywane wyjaśnienia nie pomogły naszym przyjacielom w odśledzeniu śladu złodzieja uby. Zdradzili się w końcu natarczowością zadawanych pytań.

— O co wam, właściwie, chodzi chłopcy? — powiedział niecierpliwie jeden z garimpeirów. — Czy nie widzicie, że przeszkadzacie w pracy?

— Ktoś nam zabił psa.

— Wielkie mi rzeczy! Znajdziecie drugiego. O to nietrudno.

— Takiś mądry? Dzisiaj zabił nam psa, a jutro tobie poderżną gardło.

— Może macie słuszość — odezwał się milczący dotąd Reinaldo 1). — Jeżeli będzie wam potrzebna pomoc służę. Myślę jednak, że obecnie powinniście sami szukać.

— Ba, należało by przetrząsnąć spory szmat selwy. A my dwaj nie mamy rady.

— Idźcie do baru. Upatrujcie gości, którzy się splukali przy ruletce. Taki facet za byle co, może nawet za szklanekę pingi, weźmie udział w wyprawie.

— A niech cię reumatyzm pokręci za taką radę — rozniewał się Uziembło. — I bez ciebie o tym wiemy.

Reinaldo roześmiał się i wlaź do wody, aby wygarnąć nową bateję żwiru, w którym mógł się trafić upragniony kamyczek.

Co było robić? Należało, rzeczwiście, zajrzeć do baru.

Siedziało tam niewielu facetów. Można ich było policzyć na palcach obydwu rąk. Tkwił nieruchomo przy stolikach, drze miąc nad szklaneczką, w oczekiwaniu na uśmiech losu w postaci zjawienia się przygodnego kompana o szerokim geście i hojnej ręce. Nikt z nich nie zwrócił uwagi na ukazanie się Słupeckiego i Uziembły, ponieważ uchodzili za nieużytków. Przyczepiono im nawet epitet: “estrangeiros pão duro”.

Lokal był mroczny i zadymiony. Z powodu spiekoty panującej na dworze okna zaciągnięto ciężkimi zasłonami, co utrudniało dopływ świeżego powietrza. Za kontuarem drzemał właściciel, Boliwijczyk, chudy jak szczapa o twarzy zaszuszonej i

1) Opowiadanie niniejsze jest dalszym ciągiem noweli Andrzeja Zawrotnego pt.: “Upiór znad Czarnej Rzeki” (patrz nr. 5/6 “Przeglądu Polskiego”).

przebiegłej. Nazywał się Alonzo Rubios, a wolano na niego don Alonzo. Nikt nie mógł sobie dokładnie uzmysłowić, kiedy zainstalował się w barze. Wiadomo było tylko, że w tydzień po śmierci grubego Osmana, zjawił się w towarzystwie gościa, o którym mówiono, że jest bratem zabitego. Nazajutrz brat Osmana wyjechał, a Boliwijczyk pozostał w zakładzie. Okazał się doskonałym organizatorem i świetnym znawcą knajpiarskiego interesu. Życie nocne w barze nabrało dodatkowego uroku od kąd don Alonzo urządził w dobudówce ruletkę. Urzędowało tam zawsze dwóch krupierów, rzekomych współników don Alonza.

Słupecki zamówił koniak. Zanim kelnerka, zwiędła Mulatka o smutnym uśmiechu, przyniosła trunek przyjrzał się od niechcenia wszystkim obecnym. Nie było wśród nich żadnego obcego. Nagle drzwi się otworzyły. Stała w nich starszy mężczyzna ponad pięćdziesiątkę, szczupły, wysoki, z lekką przygarbioną. Z bujnego zarostu wylinał się cienki, haczykowany nos i oczy ciemne, żywe i czujne. Ubrany był w kraciatą koszulę, wyrudziałą od słońca, przybrudzone fermerki i sfatygowane buty z cholewami. W rękę trzymał postrzępiony kapelusz siomkowy. Trwał tak kilkanaście sekund w progu, usiłując przyzwyczaić wzrok do mroku panującego w izbie. Potem nie dbałym ruchem poprawił rewolwer u pasa i podszedł do kontuaru. Światło jedynej lampy, płonącej nad bufetem, oświetlało go dosyć dobrze.

— Obcy, — mruknął Uziembło. — Nigdy go przedtem nie widziałem.

— Ani ja. Spójrz na jego plecy. Czy nic nie dostrzegasz?

— Nic, a nic.

— Przyjrzyj się lepiej. Zauważyłeś te ciemne plamy na koszuli?

— Coś jak by spostrzegam. No, i co z tego?

— Nic, później ci powiem.

Uziembło zapłacił za koniak, wyszli z baru. Na ścieżce wiodącej do rzeki Słupecki zatrzymał się nagle i powiedział:

— Wystaraj się natychmiast o łódkę, ale piurunem! Będę na ciebie czekał koło przystani.

Uziembło nie pytał o nic więcej. Pobiegł do najbliższej płuczki. Niestety, łódź była tam w naprawie. W następnym miejscu jeden z parimpeirów wypłynął ubą na połów. Łodzi udzielił dopiero Reinaldo.

Uziembło usadowił się w łodzi i zanurzył właśnie wiosło w mętnej wodzie, gdy Reinaldo krzyknął:

— Jeśliby trzeba było możecie na mnie liczyć.

Koło przystani nie było nikogo. Uziembło skoczył do baru, ale i tam nie zastał Słupeckiego. Trochę go to zaniepokoiło. Wrócił do przystani z postanowieniem przeczekania pół godziny zanim zacznie poszukiwania. Ale nie upłynęło więcej,

niż dziesięć minut, gdy zobaczył Słupeckiego wylającego z nadzrewnych krzaków.

— Kapiwarę gonisz? — zapytał drwiąco, bo już go diabli brali ze złości.

Słupecki nie odpowiedział na zaczepkę. Dobrych kilka chwil sapał i wycierał pot z twarzy.

— To był nasz człowiek. Zabił psa. Dlaczego wytrzeszczasz tak na mnie gały? Wiem co mówię. Kiedy zobaczyłem gościa zaraz mi przyszło do głowy, że to on zabił. Po zastrzeleniu wziął psa na plecy. Nie wiem poco to zrobił. Fakt, że poplamiał przy tym koszulę. Sprzął ją, oczywiście, ale plamy zostały.

— No, to jest tylko przypuszczenie.

— Zaczekaj. Śledziłem faceta po wyjściu z baru. Dotarłem za nim do miejsca nad rzeką, gdzie miał ukrytą łódkę. I wyobraź sobie, że to była nasza uba.

— Bujasz!

— Jak pragnę zdrowia. Mnie już nie chodzi o psa, ale o łódkę! Gdybyśmy chcieli kupić nową dużo by to nas kosztowało. A poco mamy się narażać na wydatek kiedy można odzyskać utraconą własność?

— To jedziemy?

— Pewno!

3.

Wypłynęli wczesnym rankiem. Na drzeką wisiała jeszcze mgła i ptactwo wodne zrywało się do lotu przed szybko mknącą ubą.

Przez całą drogę Reinaldo zartował z estrangeiros, którym przywidziało się nie wiadomo co. Wielka rzecz, pies! Ludzie także giną w lesie. Selwa jest bowiem zazdrosna o swoje tajemnice i karze śmiazków, — pragnących je zgłębić. — Dżungla została stworzona dla zwierzyny i dzikiego człowieka. Białym do niej zasię!

Bez wielkiego trudu odnalazł miejsce, w którym rozegrała się psia tragedia. Nic się tu nie zmieniło. Ptactwo uradowane wspaniałym porankiem darło się wniebogłose. Można było rozróżnić ochryple krakanie tukana i kłótlive przekomarzanie się papug.

Reinaldo pokazał niebawem, że mimo wrodzonej niechęci do puszczy potrafi dawać sobie w niej radę i czyta w jej gąszczu jak w otwartej księdze. Bez trudu, ku własnemu zdumieniu, obok spłowieiałej już kałuży krwi wykrył ślady obcego człowieka. Ślady prowadziły do igarapé.

(Dokończenie na str. 20)

José Gordo umarł.

W poniedziałek rano traktor jadący z Piassaguera na plantację kauczukową w dolinie Kilombo, manewrując z trudem pomiędzy gałkami, a głębokimi bagnistymi dolami, zatrzymał się przed ciałem mężczyzny leżącego krzyżem.

Był to José Gordo.

Jak zwykle dwa razy tygodniowo odbywał dziesięciokilometrową pielgrzymkę ze swojej chałupki nad dużym wirem poprzez wertepy Kilombo na stację by sprzedać worek bananów. Wystarczy na trochę ryżu, tytoniu i cukru.

Nie wytrzymało stare serce.

Doktor popukał, policjant spisał protokół, ludzie pokiwali głowami i ten sam traktor zawiózł starego José Gordona na stację, a dalej władze — do Kubatonu na cmentarz, na wieczny odpoczynek.

Taki był epilog długiego żywota José Gordona, który zbuntował się na stare lata i przestał pracować, żeby żyć wolnym.

Ile lat tu żył w tej zapomnianej dolinie — dwadzieścia, trzydzieści? A może więcej? Gdy zaczynał swoje wyliczenia z konieczności wiązał wszystkie doniosłe dla niego wydarzenia z faktami ślubów i zgonów sąsiadów.

Było ich w dolinie niewiele, wszyscy ze sobą spokrewnieni w najbardziej dziwny sposób, tak że po zgonach podział gruntów stawał się zagadnieniem nie do rozwiązania. Zapisów nie było. Gadali, gadali, aż wreszcie wszystko jakoś się tam układało i na skutek tego grunty przeważnie należały do rodzeństw, do nazwisk. Tak aż do bambusów były tereny Bénédictów, a za bambusami zaczynały się Cruzy. W rzeczywistości tereny należały do jakiegoś tam Armando z Santos, czy Adriano z S. Paulo, którzy ani się nimi nie interesowali, ani pobierali czynszu dzierżawnego. Ziemi było za dużo.

## JOSÉ GORDO

Gospodarze, fazenderzy, sprzedawali banany w Santos i w Kubatonie, kabokle wycinali wysoki k a p i m, zachwaszczający bananal z niesamowitą szybkością, wycinali krzewy, cięli żmije uciekające przed sierpami, pocili się, mężczyli i popijali pingę. Nadchodził czas, gdy ścinali ciężkie, piętnastokilowe wiązki bananów, ładowali je do wielkich parotonowych krypt i spławiali na puch do Piassaguery lub zjeżdżali do Kubatonu i Santos holowani przez pykające motorówki.

O szóstej rano wychodzono na robotę, a o dziesiątej róg wołał na obiad. Wracali, wlokąc nogami, zziębnięci, przepoceni. Patron wydzielał każdemu po pół szklaneczki pingi i siadano w mrocznej izbie do ryżu, fasoli i suszonej ryby lub mięsa. Czasem bywało świeże mięso, gdy komuś się udało ustrzelić pakę lub jacu albo złapać w potrzask pancernika.

I tak się wlokło życie, zalewane pingą i potem od niedzieli do niedzieli. W święto szło się do sąsiadów na kieliszek, na polowanie albo na ryby.

Od czasu do czasu zdarzały się urozmaicenia: kogoś zabito lub jakiejś lokalnej damie urodził się syn w kolorze absolutnie nie pasującym do rodziców i zabójczo podobny do tego czy innego sąsiada.

Ale nad wszystkim przechodziło się filozoficznie do porządku dziennego. Stało się i już. Nie odrobisz, za późno. I ten upał...

W wypadku morderstwa zabity też się nie liczył.

“Bo co? — gadali ludzie. — Już go dawno robaki jedzą. Wdową napewno ktoś się zaopiekuje. Nie można kobiety samej zostawić”.

“Zabójca? A kto widział, że to akurat on? I niech go zasądzą to co? Komu z tego pożytek? W więzieniach i tak miejsca nie ma, trzeba czekać kolejki. Wreszcie miejsce się znajdzie, posadzą, ma chłop mieszkanie i wikt za darmo. Całymi dniami nic nie robi, tylko śpi albo w karty gra, a żona z głodu przymiera. I kto dzieciom jeść da? Governo? Akurat... I gdzie jest sprawiedliwość?”

Tak na swój sposób interpretowali nieliczni mieszkańcy doliny Kilombo pojęcie winy i kary.

Podział na kapitalistów i wyzyskiwany proletariatus istniał, bo wszyscy pracowali, mieszkali, jadali razem i wreszcie żenili się między sobą, zacierając różnice klas. Niektórzy pozostawali dożywotnimi starymi kawalerami, przeważnie z powodu pingi lub zbyt zaakcentowanej osobowości. Nałogowi pijacy stawali się niebezpiecznymi zawadiakami i w okresie rozpaczy znikali z fazendy albo z własnej nieprzymuszonej woli albo po prostu wyrzuceni przez zrozpaczonego gospodarza. Nieobecność nie trwała jednak zbyt długo, bo przecież ktoś b a n a n a l wycinać musi i pijaczyna wracał jak gdyby nic do swego b a n a n a l u, miejsca przy stole i sakramentalnych zastrzyków pingi.

Historia José Gordona była całkiem inna. Olbrzymiego wzrostu, suchy o pięknym rzymskim profilu, już dawno przestał być gruby lecz nikt go inaczej, niż Gordo nie nazywał. Płynęła w nim włoska krew fazenderów z Santa Catarina. Fazenda ojca nazywała się Cor de Rosa.

Niełatwo było do niej dotrzeć za czasów młodości José. Były tam i pola uprawne i wiele bydła. I nawet pracy nie było za wiele. Ale... za ciasno było. Świat trzeba było poznać. I ruszył José w szeroki świat. Kołował w trójkącie Pôrto Alegre, Rio de Janeiro, São Paulo, pracując tu, pracując tam, aż go w pewnej romantycznej awanturze przebodli.

Już widocznie tak było sądzone, że ani serce, ani arterie nie ucierpiały, ale co krwi uszło to uszło.

— Taka dziura w płucu była...

José rozsuwał koszulę, pokazując piękną, różową bliznę na dwa cale szeroką. Po tej przygodzie odechciało się José życia towarzyskiego i wybrał się do Santos by gdzieś dalej za morza pojechać, gdzie ludzie są lepsi, niż ta p o r c a r r i a. Ale to nie było takie łatwe, bo José ani pisać nie umiał, ani wpraszać się nie lubił i naturalnie pieniędzy na bilet też nie miał. Łaził po nadbrzeżu portowym, wdawał się w gawędy z marynarzami, pasażerami, aż wreszcie pusty żołądek zmusił go do roboty: ładowania i rozładowywania statków.

Zajęcie to nie było wcale skomplikowane. Gdy przybijał statek dobierano załogę. Ma być czterem. Jak czterem to czterem.

## WŁADYSŁAW DOWBOR

Ustawiali się i po odliczeniu dzielono ich na grupki. Jedni pracowali na nadbrzeżu, inni na pokładzie, a pozostali w “luku”. José szybko się zorientował, gdzie lżej i gdzie ciężiej, ale równie szybko dano mu do zrozumienia, że jest nowicjuszem i że dziękować powinien, że w ogóle go przyjęli i że musi zaczynać tak jak oni zaczynali a z czasem, może, a jeśli i w ogóle...

José pogodził się z losem. Miał szczęśliwe pod tym względem usposobienie, że nie lubił murów głową przebijać.

— Jak się nie da to się nie da — zamykał medytacje i dostosowywał się do okoliczności.

Pewnego dnia przywieziono z głębi łądu banany. Miały iść do Argentyny. Ładowano ostrożnie, bez pośpiechu, aby nie uszkodzić delikatnych owoców. José pracował na pokładzie. Gdy wyładowywano ostatnią kryptę raptem w porcie zrobił się ruch. Bramę portową zamknięto i ciężarówkę wyciągnęły się długim sznurem. Kontrabanda. Złapali k a m i n i o n w bramie.

Znawcy kiwali głowami:

— Zawsze tak bywa, gdy ludzie biorą się do rzeczy, na której się nie znają. Tak się nie robi... Każdemu trzeba dać zarobić. Teraz człowiek zapłaci frycowe, wiele mu nie zostanie. Dobrze mu tak.

Właściciel bananów kręcił głową.

— Człowiek musi w tym b a n a n a l u się napracować, by ten grosz zarobić, a ten, taka jego mama była, kupił za kruzeyra, a sprzeda za dziesięć. W dwa lata majątek zrobi. Nie ma porządku w Brazylii. Nad tymi draniami żadnej władzy nie ma. Co cło przytrzyma to sąd pofolguje. Co sąd zasądzi to cło wypuści. Tu by wojsko trzeba wpuścić i gdy coś takiego się przytrafi to kula w łeb i w wodę. Morze wielkie, miejsca dość. Inaczej nie rozumieją.

Tak perorował Paulo z doliny Quilombo zerkając na José. Paulo był niewielkiego wzrostu i José z wysokości swych sześciu stóp widział tylko kapelusze na beczkowatej figurce i gestykulujące ręce Paula.

José w głębi ducha uważał, że dorobienie się w ciągu dwóch lat majątku, aby potem przez całą resztę życia nic nie robić, było świetnym wynalazkiem, ale wiedział, że to nie dla niego.

Przytaknął.

Po paru minutach rozmowy doszli do przekonania, że wszystkim winien rząd i poszli na pingę. Paulo był bardzo rozmowny, częstował, opowiadał i pytał, pytał. Kto nie lubi opowiadać o sobie? José też lubił tak jak to lubią miliony innych José na świecie. Tak się rozgadał o fazendzie Cor de Rosa, że Paulo zaczął się denerwować i spoglądać na zegarek. Wreszcie przerwał i przystąpił do interesu. Interes polegał na tym, że po piekielnej awanturze dwóch pijaków odeszło z fazendy i nie było komu dokończyć terminowej dostawy bananów.

José zrobił na Paulu doskonałe wrażenie.

— Ten za dwóch wyrobi, — robił sobie Paulo perspektywy, — a przecież za dwóch nie zje.

Po wypitych kolejkach José już nie miał wątpliwości, że praca w b a n a n a l u jest zabawką, a dolina Quilombo — rajem na ziemi. W obawie jakichkolwiek nieprzewidywanych konfliktów na nadbrzeżu Paulo zapłacił za wódkę, zapłacił José dniówkę i umówili się za pół godziny w porcie rybackim o kilkaset metrów dalej. José wstąpił do p e n s j o n a t u , gdzie w jednym pokoju spało ich aż ośmiu, opłacając każdą noc z góry. Zarzucił worek na plecy, podziwiając w duchu przezorność gospodyni.

— Taka mądra baba, nikt jej się nie wymknie, — powiedział prawie na głos, wspominając wczorajszą noc, gdy bosu usiłował się wślizgnąć niespostrzeżenie do swego pokoju.

Paulo już czekał w motorówce przycumowanej do mołu. Pękata krypa kołysała się opodal na niewielkiej fali. Na dnie krypy spał parobek z głową owiniętą workiem. Paulo zaprosił gościa do motorówki, obudził parobka i cierpliwie szarpał raz po raz za sznur owinięty dokoła koła zamachowego motoru, pokręcając w przerwach jakieś kurki.

— Świece brudne — orzekł i nie zdradzając najmniejszego zdenerwowania zabrał się do dźbania w motorze.

Parobek znowu położył się na dnie krypy i zasnął. José rozejrzał się po zatoce. Na kotwicach stało wiele statków, czekały na wolne miejsce w porcie.

— I tak stoją i stoją, — westchnął José — a marynarze nic nie robią — tylko jedzą, śpią i na dziewczyny nocami chodzą. To dopiero życie...

Wreszcie motor zagdakał, Paulo obudził robotnika i ruszyli.

Lina się wyprężyła i szarpnęła krypą. Krypa pochyliła się majestatycznie, jak dworska dama, motorówka cofnęła się, lina opadła w wodę. Znowu szarpnęło i krypa, kiwając się godnie, i stopniowo nabierając szybkości, ruszyła w ślad za motorówką.

Szybko płynęli wzdłuż wybrzeża od prześwitu do prześwitu wąskich uliczek starego miasta. Wkrótce domy się skończyły i już pruli środkiem szerokiego kanału obramowanego gęstymi, pokracznymi mangami, tworzącymi zielony mur. Zaczynał się przyływ. Ocean wdierał się w głąb ładu walcąc poprzez olbrzymią lagunę do wszystkich wpadających do niej rzek. Wielkie t a i n i e zaczęły wyskakiwać wysoko w górę sprzed dziobu motorówki z głośnym pluskiem spadając na powierzchnię wody.

— Niska woda — mruknął Paulo — za wcześniej wyjechalibyśmy.

Skręcił ostro w lewo. Na błotnistej olbrzymiej mieliznie-koronie, zajmującej dobry kilometr kwadratowy, roilo się od tainii. Jedne wyskakiwały w górę, inne wykreślały młynka w wodzie, znacząc swój ślad na gładkiej tafli. Paulo przemykał się tuż pod gęstymi mangami, aż tainie się skończyły i można było wrócić do poprzedniego kursu.

Mieli przed sobą olbrzymią lagunę ciągnącą się aż do wysokiego płaskowzgórza paulistańskiego, groźnie rysującego się na tle siniego nieba. Wielkie czarne kaczki zrywały się z tyk v i v e i r o s , piękne białe g a r s e o wyciągniętych, długich, żółtych nogach leniwie i harmonijnie poruszały skrzydłami, zataczając kręgi nad łódkami.

Po godzinie jazdy skręcili w prawo w szeroki kanał, mijając raz po raz rybaków siedzących na dnie miniaturowych dźbanek i unoszonych przyływem w głąb ładu. Trzymali w rękach wędkę, pomagając sobie wiosłem dla utrzymania kierunku. Nie zwracali na przejeżdżających najmniejszej uwagi w oczekiwaniu na wielkie ryby r o b a l e zdążające, jak i oni w głąb zatoki.

Na zakręcie na v i v e i r o uwiesiło się trzech rybaków.

V i v e i r o częstokół zrobiony z powiązanych ze sobą drutem wysokich, przeciętych wzdłuż na pół dragów bambusowych, tworzy jak by parkan idący od ładu w głąb zatoki, zakończony spiralą. Ryba, płynąca w głąb ładu wraz z przyływem, napotyka częstokół i usiłując go obejść wpada do spirali skąd już nie może znaleźć wyjścia. Raz na tydzień rybacy wybierają z v i v e i r o uwięzione ryby.

Trzej rybacy manewrowali siecią kołysząc się na wąskim mostku z dwóch desek zawieszonym dokoła spirali v i v e i r o . Sieć się zamykała. Sprytniejsze tainie, już doświadczone, wyskakiwały wysoko w górę, spadając po drugiej stronie sieci. Wreszcie sieć została wyciągnięta z wody i cała trójka zaczęła wyrzucać energicznie broniące się ryby z sieci do łódki. Spadały ciężko, podskakując bezradnie na dnie łodzi.

— Dobry połów, — cmoknął Paulo — dobrze zarobią.

Dodał znowu gazu. Płynęli dalej szerokim kanałem.

— To już Quilombo — powiedział Paulo wskazując odnogę z prawej strony.

Skręcili ostro, by nie wpakować się na mieliznę i wpłynęli do rzeki, która przecinała nizinę, zarośniętą gęstymi mangami, między ścianą płaskowzgórza paulistańskiego, a łańcuchem wzgórz Jurubatuby.

Sarakury nawoływały się wrzaskliwie uciekając w krzaki na widok łódek. Rzeka się zwięzała i stawała się coraz bardziej kręta, ale jeszcze przyływ miał przewagę nad prądem i woda rwała wzwyż. Wreszcie mangi się skończyły i na wysokich brzegach ukazały się pierwsze banany, kołysząc majestatycznie olbrzymimi łopatomy liści.

— To już moje — oświadczył w pewnej chwili Paulo uroczystym głosem.

José kiwnął głową z aprobatą.

Po pół godzinie przybili do brzegu. Paulo przedstawił gościa żonie i trzem pracownikom, przyglądającym się z zacunkiem wysokiej barczystej postaci José.

— Będzie z nami pracował — oznajmił krótko.

(Dokończenie w następnym numerze)

# W REZERWACIE INDIANSKIM

SEWERYN HARTMAN

Kierowca Nono budzi nas o świcie. Jemy pospiesznie śniadanie. Psy chcą się za nami władować do samochodu. Odpędzamy je.

Nono, niewielki szatyn, flegmatyczny i jak na południowca, oszczędny w ruchach, raz jeszcze przed odjazdem ogląda wóz.

— Wątpię, żeby ten dżip dojechał do São Epitacio. 150 kilometrów z tej drogi. Tego on nie wytrzyma.

— To dlaczego go brałeś? — pyta malarz.

— Dali — odpowiada krótko Nono.

Nikły uśmiech nie schodzi mu z warg.

— Już ja im powiem w administracji — burzy się malarz. — Co sobie ci dranie myślą, carramba!

Carramba jest jego ulubionym słowem, szafuje nim bezustannie.

Tymczasem grat, jak by chcąc wykazać, że obawy kierowcy są płonne, ciągnie dobrze. Wyjechaliśmy już poza zasięg fazendy. Na jej granicy zegna nas stado kondorów. Wstrętne ptaki obsiadły obumarłe po pożarze stepowym drzewa. Łoskot silnika samochodowego wcale ich nie odstrasza. Nieruchome, czarne, jak żałobnicy, zdają się mówić:

— Nic nie ma znaczenia. Ważna jest tylko śmierć.

Na drodze przed nami z lekkiej mgiełki wyłania się kilka chat. W jednej z nich mieści się wenda. Malarz wysiada po papierosy. Dwóch wakejów w szerokich kapeluszach i czerwonych ponczach pozdrawia mnie grzecznie. Pytają gdzie jedziemy. Mówię, że "ogłądać Indian". Kiwiają poważnie głowami.

— W São Epitacio jest jeszcze dużo Indian. Ale to próżniaki. Sami nie wiedzą poco żyją.

Olbrzymie, jak dłoń, morpho siadają gromadnie na wilgotnej ziemi, pijąc chciwie wodę. Widzę je na ekskrementach ludzkich, których nie brak koło rozlewiska. Inne rodzaje motyli lubią zresztą również siadać na ekskrementach — jest to dla nich naturalne źródło soli mineralnych. Morpho są błękitne, a kiedy spojrzeć na ich skrzydła z drugiej strony — zielone.

Koło mnie kręci się mnóstwo motyli 88. Biała, wyraźna, cyfra odcina się od ciemnego tła. Wewnątrz skrzydła mają barwę ciemno-niebieską i czerwoną. Stoję nieruchomo i patrzę na ten cud natury, na te owady piękne jak kwiaty i jak kwiaty nietrwale i ogarnia mnie wzruszenie. Fruwają dokoła mnie, niektóre dotykają mnie skrzydełkami, inne siadają na ramionach i kapeluszu.

Tymczasem Nono stara się wyprowadzić wóz z topieli. Chce cofnąć jeep na wzniesienie z którego się stoczył do rozlewiska. Pomagam mu podkładać kłody pod koła. Żadnego wyniku. Teraz wkracza na widownię malarz. Podstawia pod tył samochodu długą żerdź, napiera na nią całym ciałem. Koła unoszą się wolno w górę, żyły nabrzmiwiają malarzowi na karku, wóz warczy i o nieba! rusza, aby po chwili przebyć rozlewisko i wydobyć się na suchy grunt. Malarz, obłożony, ale szczęśliwy, gramoli się do samochodu.

— Widział pan, jak to zrobiłem — chełpi się. — Podniosłem jeep razem z Nono. Nie wiedziałem, że mam tyle krzepy. Zaraz za moczarami wylania się z kępy drzew trzinowa podobna do ula chata indiańska. Młody Indianin w niebieskiej koszuli leży na zielonej łączce. Obok niego przykucnęły dwie kobiety.

Malarz wypowiada szereg głębokich myśli na temat lenistwa tubylców. Gdy pan i władca śpi kobiety odganiają od niego muchy.

Wkrótce potem trakt się rozszerza i spostrzegamy na wzgórzu duży drewniany dom. Jest to właśnie Posto dos Indios São Epitacio. Z domu wychodzi młody człowiek o głęboko osadzonych oczach, patrzących z troską na świat. Przedstawia się jako Leonardo Rocha, inspektor rezerwatu.

Wprowadza nas do pokoju skromnie umeblowanego, którego jedyną ozdobą są plakaty propagujące walkę z gruźlicą.

Inspektor mówi, że służba jego polega na kontrolowaniu życia Indian. Pozostawia się im całkowitą swobodę, nie krępuje w niczym. Ale rząd pragnąłby podnieść tych ludzi na wyższy stopień cywilizacji, usprawnić kulturę rolną, uczyć.

Drzwi się otwierają i wchodzi wysoki mężczyzna w wieku 26-27 lat. Twarz pogodna, szlachetna, jak by pełna łagodnej goryczy.

Inspektor przedstawia nam nowoprzybyłego.

— Padre Eladio, nasz misjonarz, lekarz i nauczyciel.

Padre Eladio Valentin Alfonso ukończył misyjną szkołę presbiteriańską w Stanach Zjednoczonych. Wrócił do kraju rok temu, postanawiając poświęcić całe swe życie Indianom. Mieszka w rezerwacie z rodzicami i młodą żoną poślubioną w São Paulo.

Rozmawiamy chwilę. Dowiaduję się, że w rezerwacie panuje epidemia grypy. Choroba ma niezwykle gwałtowny i złośliwy przebieg. W ciągu tygodnia umarło siedemnaścioro uczniów szkoły, którą prowadzi Eladio. Umiera też wielu dorosłych.

Padre Eladio chce nam pokazać szkołę. Jest to niewielki budynek drewniany. Wewnątrz sala szkolna o ścianach z surowych desek, ławki, tablica. Otaczają nas dzieci indiańskie. Każde popisuje się na wrywki portugalszczyzną. Znają tylko kilka słów, mówić nie potrafią. Nauczyciel porozumiewa się z nimi w języku guarani, w którym prowadzona jest zresztą cała nauka szkolna.

Dzieci, jak dzieci. Na całym świecie jednakowe. Wesołe, psotne: gonią się, bawią w chowanego. Jedna tylko dziewczynka usiadła na uboczu i przypatruje mi się wielkimi, czarnymi oczami. Na smagłej twarzy — smutek. Pytam padre Eladio czemu ta dziewczynka nie bawi się z innymi. Mówi, że wczoraj pochowano jej ojca. Epidemia atakuje głównie mężczyzn i chłopców — widocznie są słabsi.

Jedziemy do domu misjonarza. W czystym, z lekką drżącym powietrzu spostrzegam już z daleka pochyły dach kryty czerwoną dachówką. Budynek niedawno zbudowano, pachnie jeszcze lasem. Obszerny taras. Dom otoczony sadem. Rosną tam młode drzewka pomarańczy i palmy. Ziemia pomiędzy drzewkami goła, jak wydeptana. Misjonarz ma tam zamiar wysadzić mandioke.

Samochód zatrzymuje się z hałasem przed głównym wejściem.

Poznaję żonę i ojca Eladia. Oboje bardzo mili. Żona Eladia, wysoka, zgrabna, niebrzydka. Na twarzy jej zamieszkał cień. Tęskni zapewne za dużym miastem, matką.

Ojciec — krępy, dobroduszny, ciemny. Typowy Paragwajczyk. Na jednym oku bielmo. Zaraz mi wyjaśnia, że tutejsze tereny należały dawniej do Paragwaju.

— Straciłszy go w wyniku nieszczęśliwej wojny. Pan wie, że Brazylia, Argentyna i Urugwaj napadły na nas. To, panie siła, a my co — mały kraik. Nie mogliśmy dać rady.

W jednym widzącym oku błyska płomień nienawiści ale zaraz przygasa.



Zatrzymaliśmy się przed wendą...

Za wendą wjeżdżamy w las. Gościniec staje się coraz bardziej wyboisty, rozgałęzia się, żadnego drogowskazu. Po obu stronach dżungla ciemna, nieprzebyta, powiązana postronkami lian. Z drzew zwisają szare brody Absaloma. Bluszcz, paprotniki i ananasowce obsiadły gęsto gałęzie i pnie. Dołem gmatwanina krzewów i małych drzewek. Nie widać ani zwierząt, ani ptaków — pustynia.

Znowu step. Strusie. Nie robią na mnie większego wrażenia. Są mniej okazałe, niż ich krewniaki afrykańskie i nie mają wspaniałych piór, którymi na początku XX wieku panie przystrajały kapelusze.

Za stepem dżungla. Jedziemy dłuższy czas nie napotykając nikogo. Wreszcie doganiamy jakiegoś obdartusa. Okazuje się, że pobłądziliśmy. Nono skręca w boczną drogę. Z pół godziny wlecziemy się po wertepach. Gałęzie drzew trzępią po karoserii. Wóz przechyla się, sapie. Wjeżdżamy w końcu na szerszy trakt ale nawierzchnia wcale tu nie

lepsza. Pełno dołów z mętą, zielonkawą wodą. Posuwamy się koleinami wyłobionymi przez pojazdy dwukołowe. Jeden z nich, zaprzężony w parę powolnych wołów, telepie się przed nami. Z trudem udaje się go wyminąć.

Kawałek lepszej drogi i stop! W poprzek traktu ciągnie się olbrzymie rozlewisko, ni to rzeczka, ni to moczary. Most na rozlewisku zawalony.

Nono forsuje motor, próbuje przedostać się przez przeszkodę i wóz grzęźnie w gęstym błocie. Wysiadam, zdejmuję buty i przechodzę na drugą stronę rozlewiska. W najgłębszym miejscu woda nie sięga kolan.

Płoszę całe chmary motyli. Jedne są o skrzydłach misternie ząbkowanych, inne mają skrzydła jak gdyby zakończone ogonkiem. Najwięcej — kremowych i żółtych, ale są też niebieskie, zielone, fioletowe, czerwone, nawet czarne. Te ostatnie nie cieszą się dobrą sławą u Indian, którzy posądzają je o rzucanie uroku na ludzi.

— Jesteśmy obecnie Brazylijczykami — dodaje. — To już tylko historia.

Wchodzimy do domu. Duża sala jadalna - wciąż ten sam zapach świeżych desek. Czysto. Eladio przeprosza nas, znika i powraca po chwili z sześciomiesięczną córeczką. Ładne niemowlę. Twarze rodziców rozjaśniają się, gdy je chwalimy.

Padre prowadzi nas teraz do szpitalika dla Indian. Wielka, pusta szopa. W jednym jej kącie — stos kolorowych hamaków. Nie ma łóżek. Indianie śpią tylko w hamakach. Nie ma zresztą także chorych. Indianin woli żyć i umierać we własnej chacie.

Prawdziwy szpital znajduje się w Dourados. W Dourados są też lekarze. A tu? Tu w promieniu stu kilometrów znaleźć można jedynie znachorów. Pytam Eladia o jego wiadomości lekarskie. Czyta dużo książek medycznych, ma już pewną praktykę. Każdy misjonarz musi leczyć ludzi i zwierzęta, na to się nic nie poradzi.

Obejrzelśmy już wszystko co było do obejrzenia. Wracamy do domu. Chłopiec indiański roznosi *tereré* tj. mate przyrządzaną na zimnej nie gotowanej wodzie. Pierwszy pije z kui Eladio i podaje mi naczynie, ale nie decyduje się. Łamiąc utarty zwyczaj odstepują *tereré* malarzowi. Nie mógłbym tego zrobić w chacie kabokla, uznano by to za obrazę.

Malarz ssie zielonkawą napój, ani się skrzywi.

Rozmawiam z donem Ignacio, ojcem Eladia. Stary był kiedyś urzędnikiem państwowym w Concepción. O obecnej rzeczywistości politycznej w swoim kraju mówi bardzo oględnie, nie dzieląc się opinią o prezydencie Stroessnerze. Powiada tylko, że obyczaje paragwajskie są znacznie piękniejsze, niż brazylijskie, a i ludzie lepsi. A takich kobiet jak Paragwajki nie ma na całym świecie.

Właśnie na to wyznanie wchodzi żona don Ignacio, osoba dość okrągłych kształtów, a przy tym nie pozbawiona wdzięku. Nie możemy się, niestety, rozmówić,

gdyż pani poza guarani nie zna innego języka.

Siadamy do stołu, a właściwie stajemy, gdyż padre Eladio wypowiada przed posiłkiem modlitwę, w której między innymi dziękuje Bogu za przysłanie mu nich. Bardzo to przyjemnie gości i prosi o pomyślność dla brzmii.

Obiad składa się z zupy, gotowanej mandioki, mięsa z kartoflami, fasoli i ryżu. Na deser dostajemy sałatkę bananowo-ananasową.

Po obiedzie, gdy pojawia się nieodzowna w każdym domu brazylijskim czarna kawa, kobiety odchodzą i rozpoczyna się rozmowa o Indianach. Widać, iż jest to temat, którym gospodarz żyje.

Mówi prawdy banalne. Wiadomo przecież, że zetknięcie z cywilizacją niesie Indianom zagładę. Napisano o tym mnóstwo książek i tysiące reportaży. Nic nowego. Z chwilą, gdy Indianin dostaje spodnie kończy się jego odporność na zmiany temperatury, organizm delikatnieje, staje się skłonny do zaziębień. Tak, spodnie to symbol śmierci dla Indianina. Białe, prócz odzieży, obdarza jeszcze dzikiego swoimi chorobami. Najgroźniejsza z nich, gruźlica, załatwia się z czerwonoskórnym nieraz w kilka tygodni. Do tego dochodzi pinga. Wprawdzie Indianom nie wolno sprzedawać wódki, ale handlarze potrafią ten zakaz omijać.

Padre Eladio zapala się.

— Niesłusznie nazywamy Indian dzikimi. To my jesteśmy dzicy. Indianie to lud szlachetny — nie znają pieniądza i chciwości. Ich kultura jest uboga, ale życie duchowe bogate. Umieją pięknie śpiewać i tańczyć. Przypowieści ich pełne są sentymentu i mądrości ludowej. Indianie nie pracują od rana do nocy, nie wyniszczają organizmu nadmiernym wysiłkiem, narkotykami i wymyślnymi potrawami. To prawda, że nie wymyślili samochodów i samolotów, radia i druku, tysiąca rzeczy, które nam, ludziom cywilizowanym, wydają się nieodzowne. Za to żyją. Ilu z nas w godzinie



Indianin ze szczepu Cajabi

śmierci może powiedzieć, że żyło?

Przechodzimy na taras. Oparci o balustradę snujemy dalej pogawędkę o Indianach.

Don Ignacio mieszkał dłuższy czas wśród Indian Tupi.

Starszy pan okazuje się prawdziwą kopalnią wiedzy o Indianach. Niestety, czas już wracać.

— Czy wiecie panowie — mówi, — że Indianie nie jedzą wszystkiego? Tak np. nie jedzą niektórych zwierząt, ponieważ wierzą, że w te zwierzęta wcielają się zmarli.

Jeden z tutejszych Indian z plemienia Teyikué przekonywał mnie, że czarownicy przemieniają się po śmierci w jaguary. W innych zwierzętach mieszkają złe duchy. Jeżeli człowiek zabije i zje takie zwierzę zły duch przenosi się do jego wstroby, ssie ją. Człowiek chudnie, schnie, umiera.

Pewnego razu wędrowałem przez dość rzadki las o bagnistym podłożu. Słyszałem tam tak często krzyk wojenny świń leśnych, że prawie co kwadrans musiałem się wdrapywać na najbliższe drzewo. Nie słyszał pan nigdy krzyku dzikich świń?

— Nie zdarzyło mi się — powiadam.

— No, to pańskie szczęście. Brzmi to jak dźwięk kastanietów. Kiedy te bestie kłapią zębami lepiej zejść im z drogi. Chodzą stadami, zwykle gęsiego, ale żerują tyralierką. A takie są odważne i zażarte, że nawet jaguar nie śmie ich atakować. Ale Indianie chwają sobie

mięso dzikich świń i potrafią na nie polować. Otóż przechodząc przez ów las myślałem skąd się tyle świń tam szwędą, gdyż wiedziałem, że w pobliżu mieszka szczep Indian Mekronontire, należących do ludu Kajapów. Potem się dowiedziałem, że Kajapowie nie jadają świń. Uważają je za totem, zwierzę od którego wywodzi się ich klan.

— A słyszał ojciec, że niektórzy szczepy otrząsają się na widok jaja? Jaja są nieczystym pożywieniem, ponieważ lęgną się w nich kurczęta.

— Ci sami Indianie Mekronontire, o których opowiadałem, gardzą kurami. Kury nadają się dla małych dzieci, nie zaś dla wojowników. W ogóle zaś żaden Indianin nie spożywa zwierząt, które hodował od małego, co uważam za bardzo piękną cechę charakteru. Jada natomiast z upodobaniem węże i krokodyły.

Niebo chmurzy się, zbiera się na deszcz. Żegnamy się z gościnnymi gospodarzami i przeproszamy za kłopot. Kiedy patrzę w smutne oczy młodej żony Eladia robi mi się samemu smutno.

Padre Eladio przewiesza torbę lekarską przez ramię. Odwiedzimy go do pierwszej chaty indiańskiej. Musi jeszcze odwiedzić trzech chorych. Potrzebuję nam życzliwie ręce. W oczach ten sam smutek, co u żony.

Mroczna głębia chaty, bez okien. W hamaku kwili niemowlę. Rozmawiamy z matką niemowlęcia, a właściwie rozmawia Nono, gdyż on tylko zna guarani



Indianie szczepu Calapalo lubią walkę "wojnoamerykańską"

ni. Kobieta ma może dwadzieścia siedem lat, ale wygląda staro. Nie ma zdrowej indiańskiej cery o brązowym odcieniu — jest żółta. Przygląda się nam z odcieniem lekkiej pogardy, może nawet nienawiści. Co pewien czas ciężko oddech. Kaszle okropnie. Słyszę rżenie w płucach.

W pewnej odległości od tej chaty zatrzymujemy się przed inną. Przejeżdżaliśmy koło niej rano. Widzieliśmy tu śpiącego na łączce Indianina i dwie kobiety. Teraz dorosłych nie ma. Spotyka nas kilkunastoletni straszliwie kaszlący chłopak. Oczy błędne, bije od niego żar. Ma chyba ze czterdzieści stopni gorączki. Indianie nie lubią leżeć w chorobie. Do ostatniej prawie chwili chodzą, poruszają się. Można by powiedzieć, że umierają stojąc.

Opodal na pniu świętego drzewa gromada dzieci. Nono powiada, że ojciec tych dzieci umarł wczoraj i dziś go pochowano. Ach, a więc to jego właśnie podejrzewaliśmy, że śpi, a on tymczasem spał snem wiecznym. Kobiety poszły na cmentarz, dzieci pozostały w domu — wszystkie chorują na grype.

Malarz, który ma dobre serce, biegnie do auta, wyciąga pakę herbatników, rozdaje dzieciom.

Nie mogę się patrzeć na te twarzyczki rozpalone. Uciekam. Odgłos kaszlu przesładowuje mnie aż do traktu.

Idę kawałek drogą, dochodzę do bajora, w którym rano ugrzązł nasz wóz. Chmary motyli — żółtych, czerwonych, niebieskich — jeszcze tu ich więcej, niż z rana. Zbierają się gromadnie na grzędzawisku, piją chciwie wodę; inne unoszą się w powietrzu trzepocząc, wielobarwną masą.

Nadchodzą Nono i malarz. Nono, nauczony doświadczeniem, układa przez rozlewisko drogę dla samochodu. Tazczy skądś gałęzie, całe pnie.

Tymczasem koło auta zbierają się dzieci indiańskie. Są poważne, grzeczne. Żadne nie ruszy karoserii. Dwie dziewczynki przyszły z dzbanami po wodę. Będą ją czerpały z tej cuchnącej kałuży.

Dzıp przebywa szczęśliwie rozlewisko. Wsiadamy. Widzę jeszcze odjeżdżając jak chmara motyli, wypłoszonych przez wóz, kłębi się i wiję ponad gromadką milczących dzieci.

Zaraz za bajorem Nono skręca w boczną drogę. Ten sam las, nieruchomy i ponury. Tylko tu i ówdzie kępy kwitnących pomarańczowo krzewów. Jedziemy tak dwie godziny trzęsąc się na wybojach, wpadając na siebie wzajemnie. Nagle przed nami ukazują się bezleśna przestrzeń, płot, drewniana chata, a przed nią na dwóch wysokich żerdziach papierowe chorągiewki ze św. Antonim. Zatrzymujemy się. Wychodzi nam na a spotkanie dużo czarnych, brudnych dzieci.

Osada murzyńska w tych okolicach należy do rzadkości. Murzyni omijają południe Mato Grosso, za zimno im tu.

Wchodzimy na podwórze. W głębi młyn do trzciny cukrowej w ruchu. Chudy koń, poruszając się leniwie w kieracie, uruchamia drewniany walec. Murzynka w jaskrawej niebieskiej sukni wrzuca pod walec badyle trzciny.

Ukazuje się gospodarz, wysmukły Mulat w lepiącej się od soku koszuli.

— Pingę będziecie pędzić z soku? — pyta malarz.

— Nie, senhor. My lubimy sok z trzciny cukrowej. Do wieczora wszystko wypijemy.

Szczerzy w uśmiechu zepsute zęby. Nie mam odwagi usiąść na ławie, którą uwalnia gościnnie z jakichś łachów i szmat.

Po podwórzu kręcą się owce, świnię o nastroszonej sierści, kury i gołębie. Dzieci wrzeszczą straszliwie, świnię chrząkają, podchodzą do samych nóg. Szczupła Murzynka, która niedawno straciła męża, brata gospodarza, karmi piersią dziecko.

Gospodarz przynosi szklankę z sokiem, częstuje. Szklanka jest niewiarygodnie krudna, ale malarz nie odmawia. Nie mogę się powstrzymać i przestrzegam przed piciem. Macha tylko ręką.

— Mnie tam nic nie będzie. Zarazy się mnie nie trzymają.

Wyciąga szkicownik, zaczyna rysować małą, ładną dziewczynkę o zupełnie nie murzyńskich rysach.

Zaglądam do chaty. Brud na trzy palce, barłóg, garnki odwrócone do góry dnem, żeby psy nie mogły się do nich dostać.

Gospodarz wyciąga z kąta jakieś skórki. Myślę, że to skórki szczurów muzycznych. Pod Santos, idąc lasem, slyszalem wieczorem ich śpiew łagodny, melodyjny, przypominający — dźwięk mandoliny.

Malarz skończył szkicowanie dziewczynki i zabiera się do rysowania młyna cukrowego. Wizyta przeciąga się, robi się późno.

— Może się pan pospieszy — mówię. — Czas wracać.

Malarz odpowiada sucho, że muszę się dostosować do niego. On tu nie siedzi dla zabawy.

Trochę zły opuszczam podwórze. Zaraz za furtką, po drugiej stronie drogi, ciągnie się las. Odnajduję krętą, wąską ścieżkę i zaglądam się odważnie w tej kniei odrobinę już dzięki sąsiedztwu ludzi oswojonej.

Po kwadransie zawracam do auta. Spotykam Nona. Malarza jeszcze nie ma. Wreszcie nadchodzi, mówiąc, że przez nas nie zdążył zrobić wszystkiego co zamierzał. Wskazuje mu milcząc czarną chmurę, z której lada chwila może lunąć deszcz.

Zaczyna się okropna podróż po wybojach. Samochód podskakuje, jęczy, przechyla się na boki, wreszcie staje. Zastrajkował.

Okolica dzika, dookoła ślad-

nego osiedla, znikąd pomocy. Nono w pocie czoła naprawia wóz. Po godzinie udaje mu się go uruchomić. Ruszamy wśród pogłębiających się ciemności, jeep stęka, jak by za chwilę miał stanąć. Drobnym deszczem siępi o szyby.

Malarz nie zdradza ochoty do rozmowy. Okrutnie tylko przeklina, że dano nam w drogę ta-

ki stary grzą, obiecuje zrobić o to awanturę na sto dwa.

Przyjeżdżamy do domu w nocy, straszliwie zmordowani. Biorę gorącą kąpiel i idę spać.

Dziwna rzecz. Z całej wycieczki najwięcej pozostała mi w pamięci osada murzyńska z jej hałasem, brudem, zwierzakami i młynem cukrowym.

Seweryn Hartman

## Tajemnica Igarapé

(Dokończenie ze str. 15)

Reinaldo wskazał na piaszczyste w tym miejscu dno *igarapé*:

— Oto szkielet waszego psa. Piranie oczyściły go dokładnie. Szkielecik możecie teraz oddać do muzeum.

Ślady obcego człowieka prowadziły również do miejsca, w którym Słupecki i Uziembło utracili swoją *uby* i dalej jeszcze brzegiem *igarapé*, aż do udeptanej ścieżki wiodącej w głąb dżungli. Tu niespodziewanie, na niewielkim wzniesieniu, wyrastała chata trzcinowa. Z chaty wydobywało się pasemko niebieskiego dymu, unoszącego się z wolna ku niebu.

Przybyłszy znajdowali się w odległości kilkudziesięciu kroków od domostwa, gdy powitał ich donośny strzał.

— Tam do diabła — zawołał Reinaldo. — Ten barbarzyńca powinien się nauczyć manier ludzi cywilizowanych.

Zwinał dłonie w trąbkę i huknął:

— *O de casa!*

Nowy strzał kazał mu się schronić za grubą pień imbu. Słupecki i Uziembło poszli za jego przykładem.

— Stójcie tu i pukajcie od czasu do czasu Panu Bogu w okno — powiedział Reinaldo. — Ja tymczasem spróbuję zająć naszego miłego gospodarza od tyłu.

Znikł w zaroślach. Uziembło strzelił kilkakrotnie. Chata nie pozostała dłużna w odpowiedzi. Kule posypały się jak groch. Niewidzialny obrońca nie żartował.

— Ma on coś na sumieniu — zauważył Słupecki. — Zanim zdążymy się zbliżyć o krok do nura w krzaki i tyle go będziemy widzieli.

— Już tam Reinaldo dopilnuje mu pleców.

Naraz z chaty dobiegły odgłosy szamotania, jęki i okrzyki. Po chwili wybiegła z niej półnaga kobieta. Pozarpana sukienka ledwo okrywała jej brązowe ciało. Wrzeszcząc przeraźliwie mknęła ku zaroślom, w których czatował Uziembło.

Huknął strzał i kobieta rozkrzyżowawszy ramiona runęła na ziemię. Uziembło chciał lecieć na pomoc nieszczęśliwej. Słupecki szarpnął go za koszulę, obaj potoczyli się w krzaki. Kule zaświstały im nad głowami. Wkrótce potem w drzwiach chaty ukazał się Reinaldo.

— Chodźcie, już po wszystkim. Tak, był to ten sam wysoki kaboklo, którego widzieli w barze. Reinaldo ogłuszył go cięsem kolby i teraz wywlokłszy z domu wiązał mu ręce i nogi cienką lianą *cipó*.

Uziembło zajął się tymczasem ratowaniem rannej kobiety. Kula przeszła jej przez udo, nie naruszając kości. Była to młoda Indianka z wyglądu i zachowania przypominająca drażną kotkę.

— Canindé, Canindé! — wołała.

Pierwszy dorozumiał się Słupecki.

— Toż to żona Indianina Tigoré.

— Jak tu trafiła? — zapytał. Wskazała oczami kabokla, który odzyskał właśnie przytomność.

— Trudno coś będzie z niego wydobyć — pomyślał Słupecki, przyglądając się rysom draba, w których nienawiść i zaciętość walczyły z sobą o lepsze. Ale ponad spodziewanie zaczął śpiewać jak z nut.

Nazywał się Claudio i mieszkał w tych stronach od niedawna. Znajdował się na usługach Osmana. Kilka miesięcy temu Turek przywiózł mu Indiankę i kazał jej pilnować jak żrenicy oka. Polecenie to wykonywał nawet po zgonie swego pana. Psa zabił w obawie, żeby nie odkryto jego chaty. Co do *uby* to zabrał ją, chcąc utrudnić Uziembło i Słupeckiemu powrót do Buraco do Diabo. Chciał ich nawet ustrzelić z ukrycia, ale nie zdążył. Za dużo czasu zabrało ukrycie skradzionej *uby*.

Z zeznań Indianki wynikało, że Claudio więził ją w chacie, nie pozwalając się nigdzie wydać. Pewnego dnia zjawił się Tigoré, którego nie widziała od chwili porwania. Wpadł do chaty, jak burza. Widocznie opełtał go zły duch leśny, Kuru-pira. Claudio celnym strzałem z rewolweru położył go trupem na miejscu. Ciało zawlokł do *igarapé* na pożarcie piraniom.

— No, cóż — powiedział Reinaldo — warto by teraz postąpić z tobą tak samo, drogi przyjacielu: rzucić na żer piraniom. Ale nie do nas należy wymierzanie sprawiedliwości. Przekażemy cię jako mordercę Indianina do najbliższego Serviço de Proteção dos Índios i niech tam robią z tobą co zechcą.

# ROMEO I JULIA W POLSCE

SEBASTIAN ARHENS

W odległości 18 kilometrów od Lublina, w Zawieprzycach, na wysokim brzegu rzeki wznoszą się ruiny zamku. Zbudowany przed wiekami stanowił niegdyś siedzibę możnego rodu Granowskich. Obronne jego mury położone na wzgórzu, panującym nad okolicą, otoczone z trzech stron bagnami, trudne były do zdobycia. Nie zmożły ich też wojny. Z niełaski właścicieli się rozpadły. Pozostawione bez opieki, nienaprawiane, chyliły się coraz bardziej ku upadkowi.

Z ruinami tymi związana jest legenda równie dziwna jak romantyczna, przypominająca dzieje Romea i Julii.

Za króla Jana III zamkiem zawieprzyczkim władał starosta Jan Granowski. Odważny to był człowiek i równie jak odważny — okrutny. Nosił się zawsze czarno, z czoła nie znikająca pionowa zmarszczka. W wąsach i w brodzie dużo już miał siwych włosów ale w oczach palił się młodzieńczy ogień. Straszne to były oczy, nikt w nie nie śmiał otwarcie spojrzeć.

W bitwie pod Wiedniem dostało się do niewoli wielu Turków. Dobry król rozdał jeńców walecznym swoim rycerzom.

Dostał też kilkudziesięciu Granowski i jak było we zwyczaju używał do ciężkich robót. Przykuci do taczek wozili od rana do wieczora ziemię albo nosili na ramionach cegłę z odległego o milę Charleża. Sami dla siebie wybudowali więzienie. Wszystkie dokoła było im obce — drzewa i ludzie. I tylko w pogodne noce przez zakratowane okna świecił im księżyc taki sam jak nad Bosforem.

Wśród niewolników znajdował się pewien włoski kawaler z narzeczoną. Do niewoli trafili przypadkowo. Granowski, spodziewając się okupu, traktował oboje jak równych sobie i trzymał na pokojach. Jeniec nazywał się del Campo i miał zamożnego brata w Genui. Napisał do niego prośbę o przysłanie pieniędzy. Odpowiedź jednak nie nadchodziła.

Tymczasem Granowski upodobał sobie dziewczynę. Była nad podziw ładna — oczy i włosy czarne, płeć biała, w spojrzeniu i w całej postaci niezwykła słodycz.

Granowski chodził za nią jak głodny wilk. Codziennie, przylapawszy na osobici, prawil jej słodkie słowa. Ale ona nie chciała zostać kochanicą, a kiedy napierał tłumaczyła jako zaprzysięgła, że nie będzie niczyja jeno del Campowa. Znudziło się wreszcie staroście to skamłanie o przychylnosc. Przyzwyczajony był do uległości, żadna mu się dotąd dziewczka nie oparła.

Kazał tedy wtrącić del Campo do więzienia. Wraz z innymi niewolnikami wychodził odtąd na robotę, przykuty do czepek, wieczorem zaś, gdy znużony wracał do lochu, kazał go Granowski pokazywać dziewczynie.

— Patrz — mówił — jak cierpi twój ukochany. Z twojej to winy się męczy i będzie się męczył, aż mi ulegniesz.

Ale ona odwracała tylko głowę i lży się łały po wybladłej twarzy.

— Możecie mnie przecież wziąć siłą.

— Nie jestem bisurmanem, waćpanno. Nie przystoi takowa sprawa chrześcijaninowi, ani nie mógłbym tego uczynić według sumienia ale dobrowolnie musisz się oddać w moje ręce.



Piękna brama barokowa prowadzi do zamku.

Nie spieszno mu było w istocie. Miał ci ją przecież w swej mocy. Cierpliwość swą i wyrachowanie posunął tak daleko, że pozwolił młodemu na swobodne widywanie się i porozumienie.

Spotykali się jednak nie często. Ciężko im było patrzeć na wzajemne cierpienia. Del Campo wychudły, w łachmanach, milczał, ona zaś patrzyła na niego dusząc się od łez.

Gładził ją po głowie, mówiąc:

— Wytrwaj! Brat nie zostawi nas w potrzebie. Czuję, że otrzymamy od niego jakąś wieść niebawem.

Jakoż w owym czasie zjechał do Lublina pewien Italczyk. Powiadał się malarzem, a że nie masz na całym świecie większych w tym rzemiośle mistrzów, niejednego z bogatszych panów chciał go skaptować dla siebie. Nawet przewielebny biskup lubelski i ten ofiarował mu pracę przy głównym ołtarzu w Farze. Ale Italczyk był dziwnie wybredny: z nikim nie paktował, każdego jeno zbywając gładkimi słowy, nie szczędząc przy tym duserów dla osłody rekuzy, jak to oni mają we zwyczaju w Italii.

Zmienił się dopiero, gdy zjawił się u niego Granowski.

Starosta miał w Zawieprzycach kaplicę, pięknie na wzgórzu sytuowaną.

— Słuchaj, — powiada — jak mi jest na ziemi wiem, a ty mi wymaluj w kaplicy zamkowej co ze mną będzie po śmierci.

— Dobrze, panie, — odparł malarz — zrobię jak sobie życzyście i myślę, że się nie zawiedziecie.

Wkrótce po tej rozmowie zjechał do Zawieprzyc. Nie zabrał się jednak od razu do dzieła, obejrzał tylko kaplicę i kazał postawić rusztowania. Granowskiemu, który go o to nagabywał, powiedział, że czeka natchnienia bez czego nie może się zabrać do tak wielkiego zadania wielce sobie ważąc cześć zawodową.

Tymczasem wałęsał się po zamku i wsi, a że w czasie krótkiego pobytu w Lublinie nauczył się trochę po polsku więc też pozawierał liczne znajomości. Może mu tam nawet która ładna dziewczka wpadła w oko, bo za niejedną się oglądał. Kilka razy prowadził też dyskurs z del Campową narzeczoną, co zresztą nie dziwiło — jednej bowiem byli krwi. Co sobie zwieriali nikt nie wiedział nie znając owej słodkiej italskiej mowy, która tak bardzo śpiewanie ptaków przypomina.

Granowskiemu dało to wszakże nieco do myślenia.

Więcej by się pewno zatrwożył gdyby wiedział, że malarz był rodzonym bratem del Campo, i że tylko z ostrożności udawał obcego. Kręcąc się po wiosce knuł spisek.

W owych czasach złoto otwierało wszystkie bramy. Przekupieni strażnicy mieli pewnej nocy uwolnić del Campo z więzienia i wyprowadzić z dziewczyną do Wieprza kędy ukryta w szuwarach łódź rybacka powinna była czekać na nich od zmroku. Na drugim brzegu rzeki zapadliby zbiegowie w ostepy leśne, stamtąd zaś nie trudno było dotrzeć do Lublina, gdzie mogli się już czuć bezpiecznie.

Kochankowie, powiadomieni o planie ucieczki, czekali niecierpliwie na wyzwolenie. Nadeszła wreszcie owa upragniona noc. Zgrzytnął zamek w drzwiach więziennych i del Campo padł w objęcia brata. Nie czas był jednak na czułości. Każdej chwili nastąpić mogła jakaś zgubna niespodzianka.

Jeden z czeladzi przeprowadził zbiegów sobie tylko wiadomą ścieżką przez bagno.

Cicho szumiały trzciny nadbrzeżne; po plusku wioseł rozpoznali miejsce, w którym znajdowała się łódź. Żeglarze wyciągnęli ręce po pannę, malarz i del Campo szykowali się do skoku — gdy nagle rozległ się przeraźliwy krzyk; ktoś wystrzelił z samopału i w mgnieniu oka otoczyła zbiegów zbrojna gromada. Była to gwardia starosty: rosłe chłopcy w niebieskich kontuszach, czerwonymi szarfami przepasani.

Zdrada!... Jakoż tak było istotnie.

Granowski miał sługę, człeka pokracznego, grubego, nazwiskiem Śliwka, który przywiązanie do swego pana łączył z niesłychaną chciwością. On to w zamian za dukaty podsunął Italczykowi plan ucieczki i zaraz doniósł o wszystkim staroście. A Granowski z szatańskim okrucieństwem doprowadził grę do końca, aby w chwili gdy zbiegowie czuli się prawie bezpieczni schwytać ich w potrzask.

Resztę nocy i cały następny dzień del Campo i dziewczka spędzili w lochach pod zamkiem. Wieczór już był i słońce zachodziło krwawo gdy wyprowadzono ich z ciemnicy.

Granowski siedział pośrodku największej sali zamkowej. Przez ostrołukie okna sączył się ogień zachodu. Na przeciw okien, w grubym murze wybite, ziały dwa



Wieżenie w Zawieprzycach. Obecnie —  
spichrz zbożowy

otwory. Nic nie mówiąc skinął ręką starosta. Zaraz też drabanci chwycili del Campo i dziewczkę i ustawili w otworach. Murarze o brodach i szatach wapnem zwalanych jeśli kłasić cegłę po cegle, zamurując kochanków.

Mur rósł, a gdy dotarł do kolan nieznacznych Granowski rzekł:

— Zastanów się. Czas jeszcze, niebogo. Życie wasze od ciebie tylko zależy. Jedno twoje słowo, a każe mur rozwalić. Kochanka twego żyć będę i do Italii zdrowo puszczę.

Ale ona odwróciła twarz poblądła jak gielzo i nie odpowiedziała.

Murarze spojrzeli na pana i pan skinął ponownie. Kładli tedy dalej cegły. — Wkrótce już tylko głowy obojga widać było zza muru.

— Mów, waćpanna!... Będziesz mi pozwolną?!...

— Nie!... — zawołała — Po stokroć nie! Wolę śmierć.

Tak tedy oboje zostali żywcem zamurowani

Malarza, choć winnym był, starosta nie ukarał.

— Kaplicę mi wymalujesz, jakom rzekł, a potem wolnym będziesz.

— Uczynię jak chcesz, mości książe, ale to sprawa niełatwa. Roku mi trzeba co najmniej na wykonanie dzieła. Nadto przyrzec mi musisz, że nikt nie przesłapi progę kaplicy zanim nie skończę roboty.

— Nawet ja?

— Nawet ty, panie.

Granowski przyjrzał się ciekawie Italczykowi. Dziwne mu się wydało to żądanie, nic jednak nie rzekł.

Malarz uznał to milczenie za zgodę.

Odtąd od rana do wieczora uwijał się na rusztowaniach, a kiedy szedł spać zamykał przedtem kaplicę na cztery spusty. Trwało to dość długo, miesiąc mijał za miesiącem, aż starosta zaciekawiony wysłał na prześpiegi śliwkę. Dostał się jakoś sługa do kaplicy pod nieobecność mistrza, a ujrawszy dzieło Italczyka przybieżał do pana ogromnie strwożony.

— Jaśnie panie — zawołał — mistrz maluje piekło!...

— A niech maluje... — uśmiechnął się Granowski.

I od tej chwili nie pytał już kiedy kaplica zostanie ukończona, jakby go to zupełnie przestało obchodzić.

Ale gdy rok minął od zawarcia umowy stanął pewnego dnia malarz przed starostą i rzekł:

— Chodź, panie, do kaplicy — gotowa jest.

Pospieszył Granowski za mistrzem i zobaczył na świeżo wymalowanych ścianach Sąd Ostateczny. Ujrzał Boga Ojca jak w otoczeniu aniołów, dmących w trąby, powołuje do życia umarłych. Bardzo to było pięknie przedstawione.

— Na pułapie — wyjaśniał mistrz — wyrysowałem losy twe po śmierci jak tego sobie życzyłeś.

Spojrzał Granowski i zmartwił. Kochanice ciągnęły go tam w kolasie do piekła. A zaś potem diabły wsadzały go z wielką uciechą do kotła ze smołą, prążyły w wiecznym ogniu i kości rozwłóczyły na wszystkie strony świata.

Nic nie rzekł pan, jeno kazał sobie wyjaśnić każdy szczegół malowidła. Na ostatku przyjrzał się Italczykowi, jakby go widział po raz pierwszy i powiada:

— Tęgi z ciebie mistrz i rękę masz uczoną. Wynagrodzę cię za ono malowanie wedle możliwości. Aby nikt nie mówił, że Granowski nie płaci za zasługi dostaniez waść złoty krzyż.

Juści, nie mieszkając, za bramą zamkową monumentum kazał wybudować i zamurował w nim malarza, złoty krzyż na szczycie monumentum postawiwszy, którego zdaleka z gościńca widać.

Ale od onego czasu starosta spochmurniał, do nikogo się nie odzywał, rozum mu, powiadają, odjęło. Z wieczora, kiedy słońce zachodziło, krwawymi odbłaski napełniając komnatę, w której nie szczęśni kochankowie za żywa pogrzebani zostali, siadał pośrodku onej na świeże mury patrząc. Aż po chwili głos mu się jakby ze środka żywota wydobywał, a kto to widział ciarki mu po grzbiecie przebiegały.

— Gorze mi — wołał — monstra ze ściany wychodzą. Jezu, Maryja! Żywy mnie ogień pali!

## CASA CRUZEIRO

Sielski, Sbalqueiro & Cia.

Ferragens, louças, porcelanas, artigos de alumínio e esmaltado, vidros para vidraças, óleos, tintas e vernizes. Arame farpado e lino, serras, ferramentas, artigos para presentes etc.

CURITIBA - PARANA

Largo Coronel Enéas, 152

Filial:

Rua José Bonifácio, 61

## Święto Karpaczków

Dnia 15 grudnia mija 20 lat od chwili bitwy pod Ain El Gazala, której datę obrano jako dzień święta 3 Dywizji Strzelców Karpaczków.

Mógłby ktoś zapytać dlaczego data tej właśnie bitwy została wyróżniona. Czyżby bitwa pod Ain El Gazala była specjalnie ważna, specjalnie krwawa, wymagała jakiegoś specjalnego wysiłku moralnego lub fizycznego?

Nie, nic podobnego.

Dlaczego więc? Było przecież i przedtem i potem tyle sławnych bitew, w których Dywizja brała zaszczytny udział, był przecież Tobruk, Bir El Belhamet, Ancona, Loreto, Monte Cassino, Bolonia. Straty w każdej z tych bitew były znacznie większe, niż pod Ain El Gazala. Każda z tych walk wymagała dużo więcej wysiłku fizycznego, poświęcenia i osobistego bohaterstwa. Dlaczego więc właśnie Ain El Gazala?

Gdy w roku 1939 hitlerowski wał druzgotął nasze siły zbrojne żołnierz był fizycznie i materialnie nieprzygotowany do obrony. To tylko siła moralna i stworzony patriotyzm pozwoliły mu na stworzenie armii podziemnej, na zorganizowanie ugrupowań wojskowych na wszystkich frontach świata. Ale była to walka nierówna, gdzie spryt i zaciekłość, samozaparcie i rezygnacja, największą odgrywały rolę. Żołnierz polski wciąż jeszcze, czy to było w Francji, Narwiku, czy Tobruku, nie osiągnął właściwego stopnia przygotowania fizycznego i materialnego.

I wreszcie nadszedł dzień 15 grudnia 1941 r., gdy Samodzielna, jeszcze wówczas Brygada, Strzelców Karpaczków, po trzymiesięcznej mozolnej obronie Tobruku, po zacieklej, lecz przegranej bitwie pod Sidi Rezegh, stanęła oko w oko z przeważającymi siłami niemieckimi. Żołnierz polski po raz pierwszy w historii drugiej wojny światowej poderwał się i szaleńczym atakiem zdobył wielokrotnie mocniejsze pozycje wroga.

Stał się cud... Albo też cudu żadnego nie było. Wspaniałe morale, doskonale zaplanowane natarcie, dobre uzbrojenie, niezłomna chęć odwetu i spełnienia obowiązku sprawiły, że niezwyciężony do tej pory Africa Korps wiał, aż się kurzyło, zostawiając na pastwę losu swoich italskich aliantów, którzy, nawiasem mówiąc, bronili się po bohatersku.

Obserwatorzy pism zagranicznych mówili, że szliśmy jak na filmie. Być może. Trudno mi to ocenić. Najważniejsze jednak, że film zakończył się happy endem.

Ważniejszy jednak od fizycznego wyniku był rezultat moralny: radio i gazety całego świata rozślawiły imię Polaki, opromienione zwycięską bitwą, a żołnierz polski mógł już teraz powiedzieć z dumą, że po raz pierwszy od pamiętnego września 1939 r. walczył i zwyciężył. Zabliły mocniej polskie serca, w umysłach utrwaliła się nadzieja ostatecznego zwycięstwa.

I na tym polega właśnie ważność bitwy pod Ain El Gazala i wielkość święta Dywizji Karpaczkowej.

"1213"

B. żołnierzom Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaczków i 3 Dywizji Strzelców Karpaczków Redakcja PP składa najlepsze życzenia w dniu Święta Dywizji w rocznicę pamiętnej bitwy pod Ain el Gazala.



# LEGENDA O HERVA MATE



Wodospady na rzece Iguacu

Było to dawno, dawno temu. Noga białego człowieka nie powstała jeszcze na ziemiach, które obecnie zwiemy Brazylią. Jedynymi mieszkańcami i panami nieprzebranych, zielonych puszczy pełnych przedziwnego zwierza i ptactwa — byli Indianie. Dwa ich szczepy przewodziły: Tupi i Guaraní. Oba — jednakowo potężne i waleczne żyły w owych czasach w ciągłych wzajemnych waśniach i polityczkach. Pod panowanie pierwszego szczepu podpadał lewy brzeg rzeki Paraná, sięgając z jednej strony po wodospad Iguacu, z drugiej — po Atlantyk. Natomiast olbrzymią połacią ziemi rozciągających się po prawej stronie rzeki Paraná (dzisiejszy Paragwaj), władał szczep Guaraní.

Główna sadyba wielkiego kacyka Tupisów położona była wielce malowniczo nieopodal wodospadu Iguacu, ponoć najwspanialszego na świecie. Zgodnie ze swym dostojenstwem posiadał wiele żon i dzieci co niemiara. Ze wszystkiego potomstwa jednak najmilszą sercu była mu dorodna córka imieniem Yara, co w mowie jego szczepu oznacza Władczyni Niebios. Mówiąc po naszymu szedł jej siedemnasty rok życia ale według sposobu liczenia Indian — siedemnasty raz mnożył trzynastą pełnią księżyca, jako że rok ich dzieli się na równych trzynastą miesięcy.

Rzadkiej gładkości lic i sarniej gibkości ciała, a jeszcze rzadszej zacności serca, cieszyła się młoda Yara wielką miłością i wdzięcznością licznych poddanych, którzy nazywali ją swą opiekunką i pielęgniarką. Była bowiem niestrudzenie pomocna kapłanowi i znachorowi szczepu, staremu Pagé w uzdrawianiu i opatrywaniu chorych i ranionych przez strzałę czy zwierza.

Głęboko czciła swego boga wielkiego Tupana, którą to cześć oddawała bijąc poklony o zmroku, a świt spędzając, aż do ukazania się boga-Słońca, w wodach Iguacu. Po kąpieli szła do źródła, które sobie umiłowala, by napić się z niego wody kryształowej. I tak czysta w sobie i na ciele rozpoczynała dzień od doglądania chorych i pocieszania stroskanych.

Jutrzenka jej siedemnastej rocznicy narodzin zastała ją jak zwykle w rzeźnej kąpieli. Gdy wonna i świeża, jak kwiat manacá, wy-

chodziła z wody, olśnił ją blask, idący od wielkiego, prastarego drzewa zwanego Caa, rosnącego na brzegu rzeki. To Gwiazda Poranna rzuciła nań promień srebrnego światła, jak by chcąc wyróżnić spośród innych drzew puszczy.

Urzeczona tajemniczym zjawiskiem, Yara udała się w kierunku jego, tym więcej zaintrygowana, że szły od oświetlonego drzewa dźwięki mowy ludzkiej. To stado papug o przepięknie malowanych piórach witało z gałęzi Yare w mowie Tupi:

— *Tupã omogaraiba* — powiedziała największa z nich, bajecznie kolorowa arara (wtedy ararom nie była jeszcze odjęta mowa ludzka *iawé ara catu omehê peeme* — niech cię Tupan pobłogosławi i użyczy szczęśliwych czasów.

Po tych słowach pozostałe ptaki spuściły na Yare deszcz drobnych, białych kwiatów Caa, mówiąc chórem: zysła ci wielki Tupan dar, o którym sniłaś — liście, które są lekiem dla wszelkiej słabości, musisz jednak spotkać przedtem szlachetną duszę, która oczyści je ze złego spojrzenia demona Inhamembu.

Powiedziawszy to, ptaki trzepocząc radośnie różnobarwnymi skrzydłami, uleciały w kierunku wschodzącego słońca. Yara stała oszołomiona. A więc modły jej o cudowny lek dla cierpiących poddanych zostały wysłuchane! Czy mogła przypuszczać kiedykolwiek, jaka tajemnicza moc kryła się w tak dobrze znanych jej, niezmiennie zielonych, żyłastych, jak skóra jacaré mocnych, liściach drzewa, w którego cieniu lubiła odpoczywać w upalne południe.

Opowie to ojcu, opowie staremu Pagé — i podniecona, uszczęśliwiona pobiegła w kierunku Wielkiej Sadyby.

\* \* \*

Wśród walecznego szczepu Guaraní wyróżniał się wysoki, pięknoty młodziak dumnej postawy i szlachetnego serca. Ukończył dwadzieścia jeden razy pomnożonych przez trzynastą obrotów miesiąca i został obwołany bohaterem szczepu. Niedostępnym myśliwym i rybołowcą przy tym zapaśnik wśmienity, błądzący nikogo z bliźnich nie pozabawił życia, nikomu nie uczynił krzywdy, a jeśli niebac-

nie zranił przeciwnika, to rozbrawszy go najpierw, prowadził lub zanosił do swej leśnej chaty zwanej "óca" i tam leczył i karmił, by w końcu uzdrowionego puścić wolno. Także postępował wobec zwierza i ptaka, w łowach przekładając sieć czy nieszkodliwą pułapkę ponad łuk czy nóż. Nawet owoc nie zerwał z drzewa na siłę, by nie uszkodzić gałęzi, a strącał go wprawnym strzałem z procy.

Zwał się ów cny młodzian Guachaps, co w języku Guaranów oznacza Gwiazdny Ogień.

Młody Gupi, jak przyjaźni skracano jego imię, miał nieodłącznego towarzysza w olbrzymiej tapirzycy zwanej w jego mowie anta. Oddane mu zwierzę liczyło około sześciu stóp wysokości, i ośmiu długości, będąc niezwykle pomocne w leśnych wypadach, czy przejściach przez rwące rzeki i strumienie.

O zmierzchu tego samego dnia, w którym Yarze przytrafiła się owa, znana nam już, przygoda i Gupiemu wydarzyło się coś niezwykłego. Otóż wracał sobie spokojnie z polowania ze swoją wierną antą, którą tkliwie zwał Carai czyli Przyjaciółka, gdy nagle straszliwa błyskawica przecięła przestworza, rozległ się huk i trzask i już w następnej chwili płomienie objęły suchsze konary drzewa jatobá. Owa tysiącletnia ozdoba puszczy była szczególnie miła młodemu Gupi: wielka dziupla służyła mu za spichrz, a bogate rozgałęzienie tego prastarego pnia było schronem mnogich ptasich gniazd, pomniejszych zwierzątek, a nawet pszczołnych uli.

Młody Indianin, przerażony możliwą utratą swych przyjaciół w płomieniach, jednym susem wskoczył na drzewo i wspinając się po nim ułamywał szybkimi ruchami zagrożone gałęzie, uniemożliwiając rozprzestrzenienie się ognia. W ten sposób uratował wreszcie ulubione drzewo wraz ze swoimi zapasami w dziupli i mieszkańcami pnia i gałęzi.

Wyczerpany do ostatka ułożył się na trawie i usnął, ale nie na długo, bo zbudził go ptak Caboré, rodzaj małego pułhacza — Paragwajczyce po dziś dzień uważają go za maskotkę, a nawet uczą go mówić, jak to u nas z kosem bywa — i noszą na ramieniu lub na głowie.

Usiadł Caboré śpiącemu Gupi na piersi i tak powiada ludzkim głosem:

— Inhamembu! kazał ci powiedzieć, że się zemści. Ugasileś ogień w gałęziach Jatobá i tym czynem zgniewałeś go, syna diabła, bo ogień niszczy wszystko zło *Tata ocapi upai rupi incá*.

Powiedziawszy to, Caboré uleciał. Słowa jego, zawierające groźbę demona, wstrząsnęły młodym Indianinem. Czuł, że zemsta, zapowiedziana przez Inhambu nie da długo czekać na siebie. I tak się stało. Ledwo się podniósł z ziemi zauważył wielkiego nakrapianego kota, zwanego onca czyli tygrysią, gotującego się do skoku, by porwać małego capivari, bawiącego się nad brzegiem rzeki. Gupi rzucił się na ratunek zwierzątku wyrwał go ze szponów drapieżcy, ale nieszczęśliwie poślizgnął się i wpadł w strumień wody, który uniósł go i wciągnął do dopływu rzeki. Antę, która skoczyła swemu panu na ratunek, spotkał ten sam los. Po paru godzinach zostali wyrzuceni na prawy brzeg rzeki pod Foz do Iguacu, na ziemiach należących do Tupisów.

Nieprzytomnych z wyczerpania młodziana i zwierzę znalazłi rybacy szczepu i zanieśli na matach plecionych z łydy kokosowych przed namiot kacyka. Przywołany Pagé obejrzał ich dokładnie, po czym klasnąwszy w dłonie, kazał służbie biec po wodę z krynicy.

Yara, która dotąd stała u boku ojca, w milczeniu przypatrując się zajściu, przypomniała sobie o liściach, które miała przywracać

(D. c. na str. 24)

# Wigilia w domu J. U. Niemcewicza

(Fragment z "Pamiętników czasów moich" J. Ursyna Niemcewicza).

Wigilia Bożego Narodzenia Była wielką uroczystością. Od świtu wychodzili domowi studzy na ryby; robiono w rzece i toniach przereby i zapuszczano niewód. Niecierpliwie oczekiwano powrotu rybaków. Jakaż radość, gdy przyniesiono ceber z rybami, a matka moja dała kucharzowi rozkazy, jak każda ryba miała być przyprawiona.

Dnia tego jednakowy po całej Polsce był obiad. Trzy zupy: migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja dla służących, krążki z chrzanem, karp do podłowy (tj w sosie), szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okunie z posiekanyimi jajami i oliwą itd. itd.

Obrus koniecznie zastany być musiał na sianie; w czterech kątach izby jadalnej stały cztery snopy niemiłoczonego zboża jakiego.

Niecierpliwie pierwszej gwiazdy czekali; gdy ta zajaśniała, zebrali się goście i dzieci. Rodzice moi wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każde z nich biorąc opłatek obchodziło wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go powtarzało słowa: Bodażybśmy na przyszły rok łamali go z sobą.

Potem — do uczy, która do późnej przeciągała się nocy. Wino dodawało wesołości, śpiewano pieśni z kantyczek, szczególnie:

W żłobie leży  
Któż pobieży  
Kołodować małemu...

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że ta nuta, miarą polskiego tańca ułożona, była jaworytnym tańcem króla Władysława IV.

J. U. Niemcewicz

## Andrzej Bobkowski

Kiedy w styczniu r. 1956 wyładowałem w Gwatemali jako członek misji pomocy technicznej Narodów Zjednoczonych nie mogłem sobie odmówić przyjemności odszukania Andrzeja Bobkowskiego.

W sklepiu Hobby Shop na Quinta Avenida wyszedł na przeciw mnie wysoki, niezgrabny nieco, blondaskowaty dryblas w sile wieku, pełen wigoru, szeroko uśmiechnięty, choć może nie bez pewnej rezerwy. Rozmówiany w swoim małym biznesie (modelarstwo lotnicze), uwielbiany przez tamtejszą młodzież (nuestro querido Andrés) dla mnie był zgola kim innym. Zdawałem sobie sprawę, że ścisłkam dłoń jednego z najciekawszych, napewno zaś najbujniejszych przedstawicieli współczesnej literatury polskiej.

Urodzony w Wiener Neustadt, przybrany syn oficera polsko-austriackiego, pochodzącego ze znanej rodziny małopolskiej, która odegrała potem nie małą rolę w reżymie sanacyjnym, próbował pióra nie bez powodzenia jeszcze przed wojną. Po przebyciu okupacji niemieckiej we Francji napisał dwa tomy pamiętników, w których talent jego zabłysnął wszystkimi kolorami tęczy. Ale, rzecz ciekawa, dopiero w drugim, początkowo niezmiernie ciężkim okresie powojennego wychodźstwa, w pełnej wyjątkowego uroku indiańskiej Gwatemali, "kraju wiecznej wiosny", o tradycjach wspaniałej cywilizacji Majów, o stylu wulkanach i jeziorach, o barwnym folklorze nie spotykanym gdzie indziej, Bobkowski wybił się na pierwszy plan naszej nowelistyki, unikając skutecznie przejaśkrawionych form ultramodernistycznej ekspresji.

Wracając wieczorem po ciężkiej pracy do swego "gołębnika", zabałaganionego mieszkania, do którego trzeba się było wdrapywać raczej po drabinie, niż po schodach i które dzielił z żoną, miłą zakopiańską artystką, Basią (cóż to było za idealne małżeństwo!) i ze zgrają kocurów, zabierał się do pisania swoich przepięknych nowel, sytuowanych zawsze na tle gwatemalskim.

Andrzej nie był człowiekiem łatwym. Nie przyjaźnił się z byle kim. Z natury nieufny miał mało przyjaciół. Wieszal psy na wszystkich i na wszystkich.

— Wychodzi mi już bokiem nasz nieszczęśliwy ojczyźniany patriotyzm podwórkowy — zwykły mawiać, chociaż był nim, w gruncie rzeczy, zarażony.

Wyklócał się stale z Panem Bogiem, z którym zdaje się pogodził się dopiero w przeddzień śmierci. Znęcał się nad komunizmem. Krew go zalewała kiedy mówił o nieudolności, apatii i korupcji miejscowej oligarchii.

Ale nie mógł się oprzeć wdziękom kraju, który go gościnnie przygarnął i który niezmordowanie zwiędzał wzdłuż i wszerz, podziwiając uroki jego krajobrazów i starając się zrozumieć smutne życie indiańskich mieszkańców.

Wierzył też w walory cywilizacji jankesowskiej, opierając się tak modnym dziś latwiznom w potępianiu jej w czambuł, bez wyjątków i ograniczeń.

Nie zapomnę nigdy bezpretensjonalnych wieczorków literackich, które ku czci Bobkowskiego i z mojej inicjatywy urządził w swej rezydencji ambasador brytyjski Allan.

Allan spędził po wojnie pewien czas na placówce warszawskiej, gdzie wyskakiwał ze skóry, aby pomagać Polakom i rozmiłował się we wszystkim co polskie, wladając zresztą poprawnie naszym językiem.

Wydało się, że gdy tylko czas mu na to pozwoli Bobkowski napisze jakąś większą powieść i wywinduje się na jedno z czołowych miejsc w piśmiennictwie polskim nie tylko zresztą diasporę wychodźczą, gdyż i w kraju jego twórczość była oceniana wysoko.

Stało się jednak inaczej. Życie jego przeciął przedwcześnie jeden z najbardziej zdradliwych wrogów ludzkości, opierający się do dziś naturcy medycyny, — rak. Dwa lata męczył się oczekując śmierci, której tak bardzo pragnął uniknąć ten rozmiłowany w życiu człowiek, umiejący wycisnąć z niego wszystko co piękne. Pamiętniki, które pisał w tym czasie, oddając wiernie epizody owej nierównej, beznadziejnej walki, to jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów, jakie ostatnio przeczytałem.

Ale nie rozkłamujemy się nadmiernie myśląc o bezgranicznie smutnej śmierci Andrzeja Bobkowskiego. Bo on sam, cynik "na niby", wykpiłby nas niemiłosiernie, gdyby przeczytał przesadnie liryczne słowa na ten temat.

Stanisław Fischlowitz

## LEGENDA O HERVA MATE

(Dokończenie ze str. 23)

moc i rzeźkość osłabionym. Cóż kiedy nikt ze szczepu, nawet sam znachor Pagé, nie wiedział, jak je zastosoować.

Nabrawszy śmiałości, Yara z gałązką Caa w ręce, zbliżyła się do młodego Indianina.

— Carai Porá — Piękny Przyjacielu, znasz ty może sposób oczyszczenia tych oto liści ze złego spojrzenia demona? Mają one moc wielką, ale przedtem musi być pokonane zło...

— ... zło — przerwał jej Gupi, który w owej chwili przypomniał sobie słowa puha-cza — ogień pali wszystko zło, tata ocapi upai rupi incá — już same te słowa dodały mu otuchy i rozjaśniły myśl.

— Znieście tu suchych gałęzi Curi (piniora) na stos i podpalcie, a nad płonącym ogniem opalcie liście Caa, by wyszła z nich zła moc, a pozostała dobra. A potem zalejcie liście warzącą się wodą.

Natychmiast usłuchano rozkazu młodego Gupi i uczyniono zadość jego wskazówkom. Sporządzony napój, osłodzony miodem pszelonym okazał się nie tylko smaczny, dawał też siłę i wesołość. Radował się więc wszystkich szczep z kacykiem i kapłanem na czele. Tenże stanowiący na podwyższeniu z brył granitu, tak rzekł do ludu:

— Nasz dobrośliwy bóg Tupan zesłał nam cudotwórczy lek, który powstaje przez dobroczynny wpływ drzewa Curi na liście drzewa Caa, dając w wyniku Herva Mate, jak się odtąd nazywać będzie ten nowy napój Tupisów. Nie zbraknie nam go nigdy, bo ziemię nasze obfitują w drzewa Curi i Caa. Tym też drzewom od dziś cześć oddawajcie. A młodzieńca, który przyspieszył rozpoznanie i radość naszą jako gościa znamienitego przyjmijcie i obdarujcie.

Wstał tedy ożywiony Gupi i postąpił ku Yarze, a ukleknawszy przed nią, w te odezwał się słowa:

— Cunhatá poranga — Piękna Dziewico, ocaliłaś mi życie, przeto już na zawsze niewolnikiem twoim pozostanę i towarzyszem twym pragnę być aż do samej śmierci.

Yara wzruszona słowami młodziana, wzięła go za rękę i rzekła:

— Wstań, Carai Porá — Piękny Przyjacielu, sprawiedliwie rzekł nasz czcigodny kapłan Pagé — należy się tobie wdzięczność i chwała od całego szczepu, a ode mnie masz miłość wszytkiego serca mego.

— Yaro, wybrana moja — mówił już śmiało uszczęśliwiony młodzian — różnym wprawdzie bogom holdujemy ale wspólnego mamy demona Inhamembu, którego odtąd już razem zwalczać będziemy.

W następną pełnię księżyca młody Gupi wyczajem odwiecznym Indian, rozsupłał sznur dziewiczy, opasujący biodra Yary, co równało się poślubieniu dziewczyny.

Małżeństwo Yary pogodziło zwaśnionych od wielu lat kacyków Tupi i Guarani. Obaj złożyli władzę nad swymi szczepami w ręce dzielnego Gupi. Ten, pod swym właściwym imieniem Guachasp, stał się odtąd wielkim kacykiem połączonych szczepów Tupi-Guarani, sprawując nad nimi mądre i sprawiedliwe rządy z pomocą ukochanej Yary.

M. C.

## FRASZKI

ŚLUSARZ ZAWINIŁ...

Wokół języka zmił  
Ciągły gwałt się czyni.  
O zębie nikt nie mówi,  
Bo go w paszczy kryje.  
Podobnie jak w przysłowiu  
Gdzie kowal zawinił,  
A nic niewinny ślusarz  
Musiał oddać szyję.

LEW W PCHLE SIĘ ZAKOCHAŁ...

Lew w pchle się zakochał.  
Całując jej lice  
Pytał, czy jest jeszcze  
Nietkniętą dziewicą.

WET ZA WET

Kto na ciebie kamieniem...  
Nie bardzo to lubię,  
Bo wszakże jak Kuba Bogu  
Tak i Pan Bóg Kubie.

SPOTKAŁ WIELBŁĄD MRÓWKĘ...

Spotkał wielbłąd mrówkę  
Na Sahary piasku.  
Wzięli się pod rękę  
I poszli do lasku.

Fr. G.

MIECZYŚLAW KRUK-ROSTAŃSKI

## ŚWIATEŁKA I CHMURKI

(Korespondencja własna ze Stanów Zjednoczonych)



Nasz korespondent ze Stanów Zjednoczonych M. Kruk-Rostański (pierwszy z prawej) w towarzystwie bohaterskiego obrońcy Kutna gen. Władysława Bortnowskiego przed zbiórką do Parady Pułaskiego w Nowym Jorku w roku 1960

Przeżywaliśmy tu kryzys najstarszego, gdyż blisko sto lat istniejącego, tygodnika polskiego: "Ameryka-Echo", wychodzącego do niedawna w Toledo, Ohio. Niewiele brakowało, aby przestał istnieć z winy płaczących nad nim i "serdecznie" współczujących rodaków, którzy wprawdzie czytają, chętnie wypożyczają do czytania bądź "na chwilkę do przejrzenia", ale jak trzeba dać grosz na fundusz prasowy, wyrównać zaległe należności albo zapłacić bieżącą prenumeratę to już ich nie ma. Stać ich za to na przepicie kilku dolarów w barze i płacz nad upadkiem prasy polskiej na emigracji.

Znalazła się jednak grupa patriotycznych i zacnych ludzi, którzy nie pozwolili na likwidację pisma i obecnie stare wydawnictwo rozbiło namioty w polskim mieście Chicagowie. Redaktorem "Ameryka-Echo" jest teraz Jan Krawiec, a sprężyną i duchem akcji ratowniczej był Józef Białasiewicz, jeden z pierwszych wydawców "Pisma Żołnierza" pod Norymbą w r. 1945.

Marian Wojciechowski, dawny prezes i wydawca "Ameryka-Echo", nareszcie będzie miał czas, aby odetchnąć i zająć się liczną rodziną, gdyż obaj z Leśniewi-

czem, chcąc ratować upadające pismo, tyrali dniami i nocami, zaniedbując zdrowie.

Opisuję to dlatego, żebyście kochani Czytelnicy nie myśleli, że w kraju dolara i dobrobytu wydawcy pism polskich mają rozkoszne życie. To zupełnie coś takiego jak z amerykańskimi mamami, które czytają nawoływania rządu o konieczności staranniejszego wychowania młodzieży i nawet się z tym zgadzają, ale nie mają na to czasu. Mają natomiast czas na wielogodzinne posiedzenia u fryzjera i na ploteczki. A dzieciaki nie umieją się nawet zachować przy stole, wyrabiają się w nich niebezpieczne cechy, zagrażające otoczeniu. W rezultacie wzrasta przestępczość, z którą policja nie może już sobie dać rady.

Jeżeli już mowa o matkach to musimy z zalem stwierdzić, że zjawisko zatracania się polskości na emigracji przypisać należy wyłącznie matkom. Matka to pierwsza nauczycielka języka. Jeżeli ona nie nauczy dziecka mówić i czuć po polsku to dziecko to już zostało wynarodowione. Jakże wiele matek-Polek zapomina o swoich obowiązkach wobec polskości!

Albo spotyka się tu facetów płaczących przy drinku ze wzruszenia i patriotyzmu. Uwielbiają tę przeszłość polską, te "drogie" pamiątki i tę "kochaną Polskę", unoszą się nad słowem "Ojczyzna", że słuchając człowiekowi robi się mokro pod powiekami i nawet stawia pod te czułości. A nazajutrz spotykasz patriotycznego tatusia i kochaną patriotyczną mamusię i robi ci się smutno i głupio: miłe dzieciaczki ani be, ani me po polsku.

A przecież Stany Zjednoczone jak żaden z krajów tego zwariowanego świata pozwalają na nauczanie w szkołach języka polskiego, ba, nawet wprowadzają obowiązkowe nauczanie tego języka w szkołach oficerskich. Powiedźcie więc, drodzy moi, kogo za to prac? Kogo za to prac, że polskie pisma upadają, albo borykają się w tym morzu obojczy na wielu ładach świata, pragnąc utrzymać mowę ojców i wzajemną łączność pomiędzy Polakami?

Piszę o tym bez większej nadziei na skuteczność moich nawoływań, ale piszę, aby pozostał bodaj ślad walki o to najdroższe, co nam kazało tułać się za oceanami nie dla dancingu, kotleta i dolara, ale dla Polski i jej przyszłości.

## JESZCZE O AMERYCE

Od naszego współpracownika, Jana Wójcika z Pôrto Alegre, który przed kilkoma miesiącami przeniósł się na stałe do Stanów Zjednoczonych, otrzymaliśmy ciekawy list, z którego drukujemy niektóre wyciątki:

"New Britain, dn. 15 października 1961 r.  
... Jesteśmy już od trzech tygodni w Stanach Zjednoczonych i muszę powiedzieć, że czujemy się wszyscy bardzo dobrze. Teraz, kiedy oderwaliśmy się od Brazylii, widzimy jasno, że opory jakie istniały w nas w związku z jej opuszczeniem, były tylko natury emocjonalnej w odniesieniu do ludzi i mojej pracy społecznej... Ludzie byli tam dla mnie i dla mojej rodziny serdeczni i dobrzy i mam wrażenie, że tutaj już nie stworzymy sobie takiej grupy jak tam. A powodów do tego jest wiele.

Przed wszystkim tutejsze miasta nie są

tak urządzone jak tam. Są to ośrodki koncentrujące handel, administrację, banki itd. oraz rozległe dzielnice o jednorodzinnych, przeważnie własnych, a nie wynajętych domkach drewnianych, tak bardzo rozrzuconych w terenie, że łączność towarzyska między nimi może się odbywać jedynie w wypadku posiadania własnego wozu. Wprawdzie ludzie te wozy przeważnie mają, a co nas interesuje przede wszystkim, to mają je polscy robotnicy, ale łączność między nimi i tak jest prawie żadna, gdyż starają się dorobić po godzinach normalnej pracy zajęciem dodatkowym, aby ciulać "dulary" lub "talary", jak powiadają. Polskie towarzystwa mniej też grupują ludzi, niż w takim np. Pôrto Alegre, chociaż z drugiej strony powiedziałbym, że język polski bardziej tu jest zachowywany, niż wśród brazylijskiej Polonii: Często głowa

rodziny pracuje w godzinach normalnych, żona zaś po południu, wieczorami lub nawet w nocy, a to nie tylko nie pozwala na kontakty wzajemne, ale nawet w wielkim stopniu rozбивa życie rodzinne. Znamy małżeństwa spotykające się o 11 z minutami w nocy z tym, że żony, pracując w szpitalu, nie mają wolnej niedzieli, a tylko niektóre dni, jak im tam wypadnie z rozkładu.

Ogólnie o Polakach tutejszych niewiele jeszcze mogę powiedzieć. Jedno, że trafiliśmy do miejscowości i dzielnicy stanu Connecticut, gdzie ich jest bardzo wielu. Fabryka w sąsiednim Newington, gdzie pracuje, zatrudnia wyłącznie Polaków, tak że znana jest w okolicy jako "Polish factory". Dzielnica New Britain, w której mieszkamy, zamieszkała jest niemal wyłącznie przez Polaków. Okna naszego pokoju wychodzą na polski kościół i polską szkołę, wszystkie sklepy z "super-market" włącznie należą do Polaków względnie do polskich Żydów, a na ulicach w dzielnicy słyszy się wyłącznie język polski. Jeśli się jest w centrum miasta i zapyta w urzędzie lub sklepie czy nie ma kogoś kto mówi po polsku prawie zawsze się taki znajdzie. Nazwiska na szyldach, nazwy sklepów w rodzaju "Polish Lunch", "White Eagle", wystawy udekorowane polskimi flagami, polskie krajowe i zagraniczne czasopisma, wystawione przed sklepy, wszystko to stwarza atmosferę tak dziwną, że do obecnej chwili nie możemy się do tego przyzwyczaić i bawi to nas niezmiernie tak jak pierwszego dnia.

W niewielkim miasteczku, jakim w gruncie rzeczy jest New Britain, liczące 80 tys. mieszkańców, już byliśmy na londyńskiej rewii Ref Rena, uczestniczyli w pobliskim Hartfordzie, stolicy stanu, w uroczystości "General Pulaski Day", gdzie defiladę odbierał generał Anders, dzisiaj wieczorem, jeśli nasz przyjaciel dostanie jeszcze bilety, zobaczymy i usłyszymy słynne "Mazowsze". Taki zastrzyk polskości nie trafia się w Brazylii w ciągu lat nie uda się jej nalykać tyle, ile mieliśmy jej w skromnym okresie 21 dni.

... Chcę sobie przypomnieć i w ogóle nauczyć się angielskiego, co w warunkach jakie przed chwilą opisałem, nie jest łatwe. Można tu — kto chce — przeżyć całe życie postępując się polskim.

A teraz kilka słów o naszych pierwszych wrażeniach. Wrażeniem naczelnym było i jest podobieństwo do Europy i Polski. Kraj- obrazowe, oczywiście. Zachłysłnieliśmy się tym i to głównie spowodowało, że tak się tu dobrze czujemy. Ilość i jakość drzew w miastach i lasów w okolicy robi wrażenie piorunujące. Jadąc ulicami nie sposób patrzeć na coś innego, jak na te miłe drzewka, tak bardzo przypominające nasze lasy. Brzozy, nie liczne zresztą, to istny cud natury. A zapach sosny niemal rozczula. Klony po parkach, dęby i uganiające się wszędzie wiewiórki powodują, że czujemy się tak jak nasze rozbrykane dzieciaki.

Inną atrakcją są owoce. Jabłka, znane nam w Brazylii, były niczym w porównaniu z aromatycznymi jabłkami tutejszymi. A odnaleziony po latach smak doskonałych gruszek i śliwek wart jest bardzo wiele.

Nawet wszelkie artykuły żywnościowe bardziej przypominają Polskę. Kupuje się idealnie czystą torebkę zawierającą zespół pietruszkowo-marchwiowo-koprowy itd. i zaraz zupy i inne potrawy nabierają doskonałego smaku. Żywność w ogóle bez porównania tańsza, niż w Brazylii, opakowana jest higienicznie i estetycznie i gdzie można dodane są sztucznie te składniki witaminowe, które ucierpiły przy sterylizacji, do przesyady tu stosowanej. Do tego wszystkiego jeszcze dochodzi efekt opakowania fabrycznego o polskich napisach w rodzaju: "zacierki", "ogórki po polsku", "kluski" i dziesiątki innych.

Jan Wójcik.

# W Brazylii o Polsce - w Polsce o Brazylii



Na lotnisku: Min. Rapacki drugi od prawej

W obecnym numerze PP podajemy głosy prasy polskiej i brazylijskiej w związku z pobytem w Brazylii w drugiej połowie października br. polskiego Ministra Spraw Zagranicznych Adama Rapackiego.

Minister Rapacki przyjęty został przez prezydenta João Goularta i w czasie wizyty zaprosił go wraz z ministrem spraw zagranicznych do Polski. Jak doniosła prasa brazylijska zaproszenie to zostało przyjęte.

Po tym spotkaniu ministrowie spraw zagranicznych Polski i Brazylii, w obecności premiera Nevesa, podpisali umowę o wymianie kulturalnej, naukowej i sportowej między obydwojma krajami.

Z Brasillii Minister Rapacki udał się do Kurytyby (piszemy o tym na łamach *Stronicy Parańskiej*), a następnie do São Paulo, gdzie zwiędził międzynarodową wystawę sztuki Biennale.

Gazety krajowe podały dn. 29 października br. wywiad z Ministrem Adamem Rapackim, udzielony przedstawicielowi Polskiej Agencji Prasowej w związku z jego pobytem w Brazylii. Wywiad ten z nieznacznymi skrótami podajemy poniżej:

Jak można ocenić dotychczasowe stosunki polsko-brazylijskie i w jakim stopniu złożona wizyta przyczyniła się do ich pogłębienia i zacieśnienia?

Stosunki polsko-brazylijskie mają już za sobą długą tradycję. Ale pełniejszy rozwój stosunków nastąpił dopiero po drugiej wojnie światowej w ostatnich latach. Wyrazem tego rozwoju była zresztą i moja wizyta w Brazylii — pierwsza wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych w kraju Ameryki Łacińskiej.

Rozwój stosunków polsko-brazylijskich był możliwy dzięki temu, że zarówno Polska, jak ostatnio Brazylia prowadzą politykę rozwijania stosunków ekonomicznych z wszystkimi krajami bez względu na różnice ustrojowe.

Można więc powiedzieć, że rozwój stosunków polsko-brazylijskich jest dowodem słuszności idei pokojowego współistnienia i wkładem w jej realizację.

Moje rozmowy przeprowadzone z czołowymi działaczami Brazylii, panem Prezydentem João Belchior Goulartem, panem Premierem Tancredo Almeida Nevesem i obszernie rozmowy z panem ministrem spraw zagranicznych Francisco Santhiago Dantasem wyjawiały jak wielkie istnieją wciąż możliwości dalszego rozwinięcia kontaktów polsko-brazylijskich.

Podpisaliśmy wspólnie z moim kolegą brazylijskim umowę kulturalną polsko-brazylijską, która niewątpliwie przyczyni się do pogłębienia naszych stosunków kulturalnych i zwiększenia wymiany kulturalnej między obu krajami.

Bardzo interesujące były nasze rozmowy na tematy gospodarcze i wysunięte w nich koncepcje. Dla zbadania możliwości bliższej i lepszej współpracy między obu krajami wysunięto sugestie utworzenia grup ekonomistów, organizacji współpracy gospodarczej.

Istotnym problemem będą tu zasady współpracy ekonomicznej między dwoma krajami o odmiennych ustrojach.

Powitaliśmy tę inicjatywę, która może okazać się płodna nie tylko dla stosunków polsko-brazylijskich, ale dla idei pokojowego współistnienia w ogóle.

Mogę stwierdzić, że wizyta w Brazylii przyczyniła się do stworzenia perspektyw dalszego i znacznego rozszerzenia i pogłębienia stosunków polsko-brazylijskich. Przypuszczam, że podobnie oceni rezultaty tego spotkania i strona brazylijska, czemu zresztą dała wyraz w szeregu wypowiedzi czołowych działaczy tego kraju.

Pobyt w Brazylii był okazją do przeprowadzenia również rozmów na tematy związane z polityką międzynarodową. Czy istnieją styczne elementy polityki

zagranicznej Polski i Brazylii?

Tak, mogliśmy również omówić niektóre aktualne i ważne problemy międzynarodowe. Już poprzednio było wiadome, że w wielu najistotniejszych zagadnieniach obecnej sytuacji międzynarodowej polityka Polski i polityka Brazylii się zbieżne co do zasad. Chodzi o takie problemy, jak zasada pokojowego współistnienia, jak stosunek do kolonializmu i neokolonializmu, stosunek do dyskryminacji rasowej, poparcie dla idei całkowitego i powszechnego rozbrojenia, dążenie do rozwijania wymiany ekonomicznej i naukowo-kulturalnej bez względu na różnice ustrojowe, uznanie celowości kontaktów i wymiany zdań na temat podstawowych zagadnień międzynarodowych. Wspólna jest również zasada, że sprawa ustroju należy do wyłącznych kompetencji zainteresowanych narodów i wspólne zdecydowanie negatywne stanowisko do ingerencji jednych państw w sprawy wewnętrzne innych państw. Zbieżne również wydają mi się nasze poglądy na znaczenie rozwoju krajów nie ze swej winy opóźnionych ekonomicznie.

Rzecz jasna, że zgodność co do zasad nie oznacza zawsze zgodności co do metod realizacji tych zasad. Tu mogą być i są niewątpliwie różnice między Polską i Brazylią. Mogą być i na pewno istnieją różnice w podejściu do niektórych innych problemów międzynarodowych.

Mieliśmy okazję przedstawić nasz pogląd na sprawę niemiecką a w szczególności na przyczyny i sposoby przezwyciężenia obecnego napięcia i konieczności rozwiązania sprawy traktatu pokojowego z Niemcami oraz kwestii Berlina zachodniego.

Mogę chyba stwierdzić na podstawie wszystkich moich rozmów i kontaktów. Brazylia jest żywotnie zainteresowana w utrzymaniu i umocnieniu pokoju, w pokojowym rozwiązaniu problemów w drodze negocjacji.

Jak można ocenić zainteresowanie Brazylii problemem dezatomizacji Europy środkowej?

Podobnie jak w innych krajach również i w Brazylii spotkałem się z dużym zainteresowaniem tą polską propozycją. Była ona dość szeroko znana i dyskusyjna. Poznałem wielu szczerych zwolenników tej idei.

Wydaje mi się, że nie tylko w rozmowach oficjalnych ale przy okazji konferencji prasowej i wielu innych spotkań naświetliliśmy szerzej i głębiej problem niemiecki i w ogóle zagadnienie bezpieczeństwa w Europie, a na tym tle również znaczenie propozycji polskich. Spotkaliśmy się z dużym zainteresowaniem i — mogę tu chyba stwierdzić — ze zrozumieniem naszego stanowiska. Jest chyba jasne, że w Brazylii nie traktuje się sprawy Berlina i Niemiec jako zagad-

nienia odległego i nie dotyczącego Ameryki Łacińskiej. Szerokie jest chyba zrozumienie, że ta sprawa, jak wszystkie zagadnienia międzynarodowe gdziekolwiek leży ich ognisko, dotyczy wszystkich, ponieważ dotyczy sprawy pokoju na świecie.

Czy można prosić o podanie bliższych szczegółów w sprawie wizyt czołowych osobistości brazylijskich w Polsce?

Zaproszenia, które przekazałem w imieniu Przewodniczącego Rady Państwa PRL, Prezesa Rady Ministrów i moim, dla Prezydenta João Belchior Goularta, Premiera Tancredo Nevesa i ministra spraw zagranicznych Santhiago Dantasa zostały przyjęte serdecznie.

Terminy tych wizyt nie zostały jeszcze sprecyzowane. Zależne są one bowiem od zajęć naszych przyszłych gości a również zgodnie z ustawodawstwem brazylijskim od zgody Kongresu Stanów Zjednoczonych Brazylii, wymaganej przy wyjazdach głowy państwa i czołowych osobistości tego kraju za granicą.

Niemniej wszyscy moi rozmówcy podkreślali, że chcieliby w możliwie krótkim terminie odwiedzić Polskę.

W czasie pobytu w Kurytybie miały miejsce spotkania z Polonią brazylijską. Czy moglibyśmy prosić o podzielenie się wrażeniami z tych spotkań?

To były wzruszające spotkania. Czuliśmy się jak w rodzinie. I rzeczywiście, jest to nasza rodzina, którą warunki zmusiły kiedyś do opuszczenia kraju i szukania chleba daleko od ojczyzny.

Są to dziś obywatele Brazylii, którzy swą pracą a także i krwią przelewaną w szeregach ekspedycyjnego korpusu brazylijskiego w drugiej wojnie światowej na włoskim teatrze wojennym zdobyli i ugruntowali swe obywatelskie prawa. Cieszymy się, że są dobrymi obywatelami swej nowej ojczyzny. Jesteśmy pewni, że tak jak kiedyś byli wśród pierwszych, którzy zagospodarowali ziemię brazylijską, będą niewątpliwie wśród pierwszych w nowym okresie postępu i rozwoju, który, wierzę w to, zbliża się dla tego ogromnego i pełnego niezmiernych możliwości kraju.

Cieszymy się, że są dobrymi obywatelami Brazylii i że zachowują jednocześnie serdeczne, gorące rodzinne uczucia dla swej Polski rodzimej. Dzięki temu są już i mogą być w przyszłości poważnym czynnikiem pogłębienia i umacniania przyjaźni polsko-brazylijskiej.

A teraz prosimy jeszcze o kilka słów o osobistych wrażeniach z pobytu w Brazylii?

— Wrażeń jest wiele i różnych. Myślę jednak, że to co dominuje, to wbrew wszystkim trudnościom wiara w przyszłość Brazylii.

# Wiadomości z Kraju

## Najważniejsze wydarzenia

Panika spowodowana zaognioną sytuacją polityczną w Berlinie na szczęście już minęła; zniknęły milowe kolejki przed sklepami spożywczymi. W handlu detalicznym można znowu nabywać bez trudności cukier, mąkę, kaszę i tłuszcze. O rozmiarze paniki świadczy fakt, zanotowany przez "Życie Warszawy", wykupienia ze sklepów jubilerskich gładkich obrączek ślubnych. Nowożeńcy mają obecnie kłopot; muszą kupować droższe obrączki cyzelowane we wzorki. Tych na szczęście nie brak.

Najważniejszym wydarzeniem w ostatnich czasach było wykrycie na Niżu Polskim złóż ropy naftowej. Geologowie od dawna podejrzewali, że na Podkarpaciu i w dorzeczu Wisły powinna się znajdować ropa. Dotychczasowe wiercenia poszukiwacze nie dawały jednak rezultatów. I oto po 10 latach poszukiwań z dwóch

odwiertów w pow. Krosno Odrzańskie w woj. zielonogórskim na Ziemiach Odzyskanych trysnęła ropa, charakteryzująca się m.in. dużym ciśnieniem i wielką zawartością części lotnych. Rozpoczęła się już próba eksploatacja pierwszego szybu naftowego Rybaki I. Geologowie twierdzą, że na Niżu jest "wielka ropa". Miałoby to nie dające się po prostu przewidzieć konsekwencje. Polska zmuszona jest obecnie importować ropę, co odbija się ujemnie na jej bilansie handlowym.

Pomimo katastrofalnego zimnego i deszczowego lata zbiory zbóż kształtują się w Polsce lepiej, niż w zeszłym średnio urodzajnym roku. Rekordowo wypadł zbiór ziemniaków, — zwłaszcza buraków cukrowych. W związku z tym cukrownie będą musiały przedłużyć sezon eksploatacyjny o jeden miesiąc.

## CENY W POLSCE

### OBUWIE:

**Damskie:** botki, głównie w kolorach białym, platynowym i beżowym po 255 i 300 zł; laskierki czarne — 180 zł; pantofle lekkie, zupełnie miękkie, z wydłużonym czubem — 175 zł; czółenka na szpilce — 440 zł.

**Dziecięce:** botki — 140 zł, buciki dla najmłodszych półdrogotne dwukolorowe — 77 zł.

**Męskie:** od 180 zł. (na mikrogumie) do 330 zł. na podwyższonych obcasach.

### KONFEKCJA:

**Damska:** milanezowe piżamy — 120 zł. białe gorsety z importu — 340 zł.

**Dziecięca:** piżamki trykotowe — 35 i 46 zł; piżamki na podszewce z pikowaną watołką — 316 zł.

**Męska:** wdzianka z powodzeniem zastępujące marynarkę ze 100 proc. wełny dzianej — 465 zł. koszule bawełniane po 57 i 59 zł. piżamy jednobarwne — 152 zł.

### POŃCZOCHY I SKARPETKI

Pończochy damskie bez szwów — 130 zł. para, skarpetki męskie gładkie — 32 i 46 zł.

## CŁO I WALUTA

Podajemy za "Życiem Warszawy" wykładnię przepisów walutowych i celnych w formie za pytań i odpowiedzi Redakcji.

### WYMIANA WALUTY

**Pytanie:** Czy bez narażenia się władzom można wymienić w Narodowym Banku Polskim obcą walutę jak np. funty ang., dolary i inne na złote polskie? Jeżeli tak, to w jakim stosunku i

gdzie dokładnie można dokonać takiej operacji?

**Odpowiedź:** Posiadanie obcych walut i dokonywanie nimi transakcji z państwowymi urzędami nie jest w Polsce zabronione. Tak więc "bez narażenia się władzom" może Pani wejść w kontakt z Narodowym Bankiem Polskim, który we wszystkich swych oddziałach prowadzi skup obcych walut według kursu, który jest ogłaszany co miesiąc w Monitorze Polskim.

Posiadanie waluty można też wykorzystać w tzw. eksporcie wewnętrznym za pośrednictwem Banku PEKAO — co jest — nawiasem mówiąc — korzystniejsze.

### BZDURA BEZ TARYFY

**Pytanie:** Mam krewną za granicą, której chcę wysłać maszynkę do mięsa nr. 6. Informowałam się w urzędzie pocztowym w Częstochowie. Powiedzieli mi, że cło wynosi 200 zł. od kilograma. Maszynka waży 2,85 dkg. czyli wypadłoby cło

570 zł., a więc kilkakrotnie przeważające wartość maszynki. Czy to możliwe?

**Odpowiedź:** Zupełna bzdura. W odniesieniu do obiektów o tak ogromnej dla gospodarki narodowej wartości co maszynka do mięsa, która nie zasługiwała nawet na specjalne jej umieszczenie w taryfie wywozowej stosuje się zasadę, że cło nie może przekraczać wartości rynkowej przedmiotu. A nawet w stosunku do maszynki do mięsa i to choćby nr. 8 zasada ta nie może zostać pogwałcona.

## Dr. Samuel Lewkowicz

C.R.M. 1302

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylii. Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. Lekarz I.A.P.I.

*Radioskopia, Elektroterapia — Klinika dla dorosłych i dzieci*

Mówi się po polsku — On parle français

Rua Prates, 39 apt. 31 - Od 15,30 do 19,30 - Tel.: 36-8469

Mieszkanie: Rua Prates, 209 apt. 71 - Tel.: 36-8469

Rua Formosa, 367 16.º — Od 10 do 11,30 - Tel.: 32-3847

SÃO PAULO

## ROZMAITOŚCI

— ★ —

### SUKCES WROCŁAWSKIEGO LEKARZA

Adjutant wrocławskiej kliniki chirurgicznej dr. Henryk Kuś dokonał po raz pierwszy w Polsce trudnej operacji wszczęcia protezy naczyniowych. Dr. Kuś absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu prowadził od kilku lat doświadczenia w tej dziedzinie na zwierzętach, a operacja dokonana na człowieku, który uległ nieszczęśliwemu wypadkowi odbyła się zupełnie nieoczekiwanie w szpitalu w Brzegu Dolnym. Podczas 4-godzinnej operacji choremu założono protezę naczyniową długości ok. 10 cm. w miejscu ubytku tętnicy pachowej.

Sukces wrocławskiego chirurga jest jednocześnie osiągnięciem polskich inżynierów w Łodzi, którzy są producentami tętnic naczyniowych z włókna sztucznego — elany.

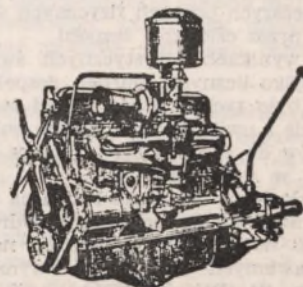
Polska jest więc obok Stanów Zjednoczonych drugim krajem na świecie, który produkuje protezy naczyniowe.

### 200 TYS. PRZYSŁÓW POLSKICH W JEDNYM ZBIORZE

Już 7 lat pod kierunkiem prof. Juliana Krzyżanowskiego pracuje grupa językoznawców nad przygotowaniem monumentalnej nowej księgi przysłów polskich. Zawierać będzie ona ok. 200 tys. przysłów. Będzie to jedno z największych tego rodzaju opracowań na świecie w bieżącym stuleciu. Dzieło to — arcydzieło encyklopedia obyczajowa, oparta jest na tradycyjnej wiedzy i przekazach ustnych. Prace redakcyjne nad księgą są w pełnym toku. W końcu I kwartału 1962 r. dzieło zostanie złożone w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

## Retificadora Braspol Ltda.

Montaże częściowe i całkowite wszelkich typów motorów oraz naprawy.



Rua Mal. Floriano, 1773.  
Fone: 4-2635

CURITIBA — PARANA

# STRONICA PARAŃSKA

## TEATR POLSKI W KURYTYBIE Wspomnienia starego bywalca

Życie kulturalne społeczeństwa polonijnego w naszym mieście obfituje w wydarzenia, które wpisały się złotymi zgłoskami w historię Parany.

Do wydarzeń tych należy, niewątpliwie, organizacja i rozwój amatorskiego ruchu scenicznego.

Chciałbym tu przypomnieć pokrótce starą budę Stowarzyszenia União-Juventus. Nazywam ją starą, ponieważ jest to instytucja związana z początkami istnienia stowarzyszenia.

Po raz ostatni stara buda ożyła w r. 1959. Wystawiono wówczas świetną sztukę poety i teatrologa parańskiego José Cadilhe: "Kiedy szczęście chce uciec" w reżyserii Nicola G. Zétolda i przy współpracy zespołu amatorskiego, składającego się z Ilią E. Chiaretto, Juareza Borges, Jerônima Borges, Nila Previde, Tomasza Wójcika, Kazimierza Ambrozewicza syna, Zandiry Werpachowskiej, P. Marly Bregińskiej, Heleny Werpachowskiej, Anuara M. Matni i Ayrtona J. Hey. Ale było to przedstawienie w języku portugalskim ja zaś chcę przypomnieć czasy kiedy na scenie starej budy rozbrzmiewała jeszcze mowa polska.

Jak dawno sięgają dzieje wychodźstwa polskiego w Paranie tak dawno zawiązywały się i upadały najrozmaitsze zespoły sceniczne. Wspomnę tu najważniejsze organizacje teatralne, jak Teatr im. Juliusza Słowackiego, Teatr Ludowy i Stowarzyszenie Miłośników Sztuki. W r. 1927 wszystkie te organizacje połączyły się pod nazwą: "Towarzystwa Kultury Teatralnej w Brazylii".

Wraz z przybyciem do Kurytyby doświadczonych artystów sceny polskiej Z. Faliszewskiej i T. Morozowicza działalność teatru polskiego w Brazylii nasiliła się w sposób dotąd niespotykany. W ciągu dwóch niespełna lat powstały w różnych okolicach Parany liczne zespoły amatorskie i zrealizowano ponad sto przedstawień, w tym trzydzieści w samej tylko Kurytybie.

Wokół Stowarzyszenia Kultury Teatralnej w Brazylii zebrało się grono osób, których energia wydawała się niespożyta. Ze wspomnę tu jedynie: T. Morozowicza, Z. Faliszewską, H. Kossobudzką, J. Barańskiego, T. Kempe, W. Marcinowską, W. Wójcika, W. Duszczaka, A. Trojana, M. Śliwianego i A. Kulica. Nie sposób wyliczyć wszystkich, zasługujących na to, gdyż zajęło by to zbyt wiele miejsca.

Cała trudna technika teatralna opanowana została bez zarzutu. Dokonywano wyboru sztuk, przeprowadzano próby, sztyto kostiumy, malowano dekoracje... Wszystkie prace techniczne, począwszy od zrycia kostiumów, charakteryzacji, projektowania i malowania dekoracji, oświetlenia sceny, a kończąc na najcięższych pracach fizycznych wykonywane były przez członków zespołu.

O wynikach artystycznych świadczy fakt nie tylko licznych tournée, zespołu po Paranie (było tych tournée ponad sto trzydzieści) ale i uwieńczonych dużym sukcesem wyjazdów do Pôrto Alegre, Buenos Aires i Rosario w Argentynie.

Mało tego. Gorączka teatralna spowodowała prawdziwy wybuch talentów dramaturgicznych. Wśród licznych sztuk napisanych i wystawionych w teatrze wymienić warto sztukę W. Wójcika "Bezdomni", dramat S. Kossobudzkiego "W pamiętną noc", i "Wesele" Władysława.

Sądzę, że ze wszystkich rodzajów sztuki sztuka sceniczna jest najbliższa sercu i talentowi Polaków. I dlatego wspominając przeszłość nie mogę się oprzeć myśli jak by to dobrze było wskrzesić teatr w Kurytybie, stworzyć nową budę przy Towarzystwie União-Juventus, dać młodemu pokoleniu możliwość wykazania swych zdolności dla podniesienia poziomu życia kulturalnego i artystycznego naszego środowiska.

S. Felix Werpachowski

## PRZEGLĄD ŻYCIA POLONIJNEGO

Życie Polonii parańskiej przebiegało w październiku br. pod znakiem wizyty Ministra Adama Rapackiego. Program wizyty przewidywał jeden dzień pobytu w Kurytybie.

W Izbie Ustawodawczej Parańskiej witał Ministra Rapackiego poseł Władysław Lachowski. Następnie, Minister Rapacki zwiedził Casa do Expedicionário Brasileiro, gdzie złożył wieniec u stóp pomnika żołnierza brazylijskiego poległego w czasie ostatniej wojny na ziemi włoskiej. Krótka wycieczka do położonej o 10 kilometrów od Kurytyby kolonii Abranches poświęcona była uczczeniu pamięci "ojca emigracji polskiej" Sebastiana Wosia-Saporskiego. Minister Rapacki złożył wieniec pod skromnym pomnikiem Saporskiego. Miejscowi księża Misjonarze podejmowali Ministra lampką wina.

Na zakończenie wizyty oficjalnej Minister Rapacki odwiedził budujący się w Kurytybie plac Polski (Praça da Polônia) i posadził na nim dąb ofiarowany przez zasłużonego działacza polonijnego, J. Barańskiego.

Ministra Rapackiego podejmowały dwa towarzystwa polskie: Stowarzyszenie im. Tadeusza Kościuszki i União-Juventus. Wieczorem w sali Towarzystwa União-Juventus odbył się wieczór, na którym w imieniu kolonii miejscowej witał Ministra Rapackiego Paweł Nikodem. Po części oficjalnej nastąpiła część artystyczna, w której wziął udział gauszowski zespół folkloru, pokazując pieśni i tańce riograndeńskie i zwyczaję z pampasów, a później polska grupa folkloru.

Z innych wydarzeń zaprzatających umysł miejscowej Polonii zanotować należy sprawę budowy Praça da Polônia. Budowie ma być nadany charakter czysto polski. Między typowymi drzewami polskimi stanie pomnik lub kompleks płaskorzeźb, przedstawiający wielkie postacie z historii i literatury polskiej. Budowa placu w centralnym regionie Kurytyby już została rozpoczęta. Komitet budowy wystąpił z apelem do społeczeństwa polonijnego o składanie na ten cel ofiar. Akcja zbiórkowa nie daje jednak, jak dotychczas, spodziewanych rezultatów. Przytoczyć należy, że władze miejskie Kurytyby powierzyły zbudowanie placu społeczeństwu polonijnemu z tym, że koszt budowy ma być pokryty z funduszy tego społeczeństwa. Dzieło rozpoczęte powinno być jak najszybciej zakończone. Komitet zwraca się więc do rodaków aby pamiętając o swym obowiązku nie poskąpił grosza na ten ważny cel. Kto szybko daje dwa razy daje!

Istniejąca przy Towarzystwie União-Juventus pod kierownictwem ofiarnego i niezmordowanego kapłana, księdza Józefa Zajęca, polska grupa folkloru rozwija się nieprzerwanie. Grupa liczy obecnie 90 osób i w niedługim czasie zostanie powiększona do 120 osób. Młodzież coraz bardziej interesuje się zespołem. Świadczą o tym nowe zgłoszenia pragnących przystąpić do grupy. Wielkim

powodzeniem cieszyły się ostatnio występy zespołu w Mafrze i w Ponta Grossie. Jeżeli Polonię parańską coś jeszcze dzieli to grupa folkloru łączy ją ponad wszelką wątpliwość.

(Jotka)

## NIESTRUDZONY DZIAŁACZ POLITYCZNY

Dra. Tadeusza Sobocińskiego odwiedzamy w jego kancelarii adwokackiej. Czekamy chwilę póki nie wyjdzie ostatni z licznych klientów.

Dr. Sobociński brunet średniego wzrostu o otwartej i sympatycznej twarzy, którą zdobi niewielki, brazylijski wąsik, jest typem wytrawnego działacza politycznego.

Ukończył na Uniwersytecie Parańskim dwa wydziały: w r. 1947 odontologię i w r. 1953 prawo. Specjalizował się w dziedzinie prawa związkowego i prawa pracy. Poza licznymi artykułami w prasie fachowej opublikował dwie większe prace: "Pojęcie i charakterystyka przestępstwa" i "Podstawy historyczne Parany".

Działalność polityczną rozpoczął w r. 1950. Należy do stronnictwa P.S.P. W r. 1954 zostaje posłem do parańskiego zgromadzenia ustawodawczego. Kandyduje do parlamentu stanowego przy najbliższych wyborach w r. 1962. W czasie swojej kadencji poselskiej przyczynił się do szerzenia oświaty w Paranie. Z jego inicjatywy i przy jego pomocy zbudowano 67 szkół, w tym 64 w koloniach polskich. Był jednym z założycieli szpitala w Cruz Machado, którego budowa zostanie wkrótce zakończona.

Pytamy dra Sobocińskiego o jego program wyborczy.

— Uważam, — powiada dr. Sobociński — że najważniejszym zadaniem w chwili obecnej jest udzielenie pomocy rolnictwu, rzemiosłu i drobnemu przemysłowi. Wiedza parańska i drobny przemysł potrzebują kredytów dla modernizacji swoich metod pracy i zwiększenia wydajności. Nie mniej ważną sprawą jest, moim zdaniem, walka o podniesienie oświaty.

W moim programie wyborczym znajduje się ponadto sprawa rozbudowy gospodarczej regionu União da Vitória. Dążyć będę do zainicjowania budowy siłowni w União da Vitória. Siłownia ta dostarczy może siłę i światło dla drobnego przemysłu w całym okręgu począwszy od União da Vitória, a kończąc na Irati. Będę się też starał o wykonanie planu rządowego budowy drogi asfaltowej z Kurytyby do União da Vitória.

(sh)

## CO PRZECIĘTNY OBYWATEL SĄDZI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ PARANY

Pan Marian Śliwiany należy do starszego pokolenia emigrantów polskich. Urodził się w Polsce w okolicach Tarnopola. Przyjechał do Parany w r. 1924. Pracował początkowo jako robotnik niewykwalifikowany, kierowca, kowal. Od 30 lat objężdża Parane jako przedstawiciel fabryki produkującej łożka metalowe. Taki człowiek zna ludzi i potrafi ocenić ich stan materialny. Dlatego też postanowiliśmy zadać mu pytanie, co sądzi o położeniu gospodarczym Parany, o którym mówi się poważnie, że pozostawia wiele do życzenia.

(Dokończenie na str. 30)

# Notatki z São Paulo



## WIZYTA UTALENTOWANEJ ARTYSTKI

Redakcję naszą odwiedziła niedawno p. Irena Bobrowska, artystka malarka, zamieszkała ostatnio w Rio de Janeiro.

Dzieje p. Bobrowskiej są niezwykle. Uczyla się malarstwa we wczesnej młodości. Później zarzucała sztukę, poświęcając się ekonomii i rolnictwu (jest inżynierem-agronomem).

Ostatnio w życiu p. Bobrowskiej nastąpił gwałtowny przełom. Zaczęła malować i to od razu świetnie. Obrazy jej znajdują z miejsca nabywców. Znakomite są zwłaszcza gwaźde. Jak się dowiadujemy talentem p. Bobrowskiej zainteresował się jeden z najlepszych profesorów malarstwa w Brazylii.

Reprodukcujemy jeden z rysunków Bobrowskiej, przypominający pod względem techniki Topolskiego, sławnego naszego rysownika, zamieszkałego w Londynie.

## PRZEGLĄD ŻYCIA POLONIJNEGO

Na pierwszy plan w życiu Polonii w São Paulo wybijają się, niewątpliwie, sprawa nabycia własnej siedziby przez Klub 44. Nadzwyczajne walne zgromadzenie członków Klubu, zwołane na dzień 10 października br., zgodziło się na zmianę statutu, a tym samym wypowiedziało się za nabyciem własnej siedziby. Wytypowany już został obiekt w jednej z najlepszych dzielnic miasta i obecnie prowadzona jest kampania, mająca na celu zebranie wśród członków potrzebnych funduszy.

W tej chwili trudno jest jeszcze określić, czy kampania ta da właściwe wyniki. Jak twierdzą członkowie zarządu istnieją poważne trudności w realizacji uchwały walnego zgromadzenia. Mamy jednak nadzieję, że trudności te zostaną w końcu przezwyciężone i że najaktywniejsza placówka polska w São Paulo wyjdzie z opresji obronną ręką.

Klub 44 przejawiał w listopadzie i grudniu jak zwykle ożywioną działalność. W dniu 14 listopada odbył się w salonach Klubu vernissage wystawy czterech artystów: Immakulaty Łosiówny, Wiktora Reiffa, Je-

zego Rostworowskiego i Erwina Wieczorka. Z wystawy tej podajemy osobne sprawozdanie.

Dnia 1 grudnia wybitny literat polski, korespondent pism angielskich, Jan Gitlin wygłosił w Klubie 44 odczyt na temat: "Jak podróżować kształcą dziennikarzy". Odczyt wypowiedziany błyskotliwie i dowcipnie, spotkał się z ciepłym przyjęciem licznie zebranych członków Klubu i zaproszonych gości.

Tradycyjna gwiazdka dla dzieci odbędzie się w tym roku w Klubie 44 16 grudnia, a na zakończenie roku dnia 31 grudnia Klub urządza bal sylwestrowy, który rozpocznie się o godz. 21 i trwać będzie do białego rana w takt orkiestry pod kierunkiem Erwina Wienera.

Stowarzyszenie im. Józefa Piłsudskiego zorganizowało dorocznym zwyczajem akademie w związku z rocznicą odzyskania Niepodległości w dniu 11 listopada 1918 roku.

## WYSTAWA ZBIOROWA OBRAZÓW I GRAFIKI W KLUBIE 44

W wystawie obrazów i grafiki w salonach Klubu 44, która miała miejsce w listopadzie br., wzięli udział: Immakulata Łosiówna, Erwin Wieczorek, Wiktor Reiff i Jerzy Rostworowski.

IMMAKULATA ŁOSIÓWNA, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, uczennica Skoczylasa i Wyczółkowskiego, wystawiła szereg rysunków kolorowych, drzeworytów i rzeźb. W drzeworytach widać niewątpliwie wpływ Skoczylasa. Niektóre z nich, jak: Kopernik i Barbakan warszawski, bardziej wyczelowane, mają pewną klasyczną sztywność. Tematy rybackie są śmielsze, cieplejsze, nastrojowe. Połączenie postaci ludzkich, sieci i tła tworzy harmonijną całość.

Rysunki kolorowane są interesujące przede wszystkim kompozycją, połączeniem kształtu i ruchu, jak w koniach i rybach. Można je uważać właściwie za projekty dekoracji ściennej lub ceramiki.

Najciekawsza może jest płaskorzeźba: Sowy w brazylijskim warstwowym piaskowcu lekko podkolorowanym specjalnymi farbami. Chropowatość kamienia daje przyjemne wrażenie ciepłej aksamitności. Rzeźba ta umieszczona na tle surowego kamienia stanowiłaby ładny motyw dekoracyjny w nowoczesnym domu.

ERWIN WIECZOREK wystawił szereg akwarel. Wieczorka architekta zawsze pociąga budowlą i jej aspekty na tle natury. Ale w sposobie pokazania architektury wyczuwa się, że zastanawia go więcej człowiek, który buduje, niż sama budowa.

Czy to będą domy, czy kościoły w Polsce i w Brazylii są one w malowaniu Wieczorka zawsze wyrazem ludzkiego istnienia. Nie chodzi o monumentalność budowli, ani o kontrasty brył, ale o to kto w tych domach mieszka, lub kto się w tych kościołach modli. Widać to wyraźnie w "Lublinie" i w "Casinhas", gdzie czuje się w rysunku i w kolorystyce murów narastanie pokoleń, czy w "Kościele w .....", gdzie kolor spatynowanego drzewa i starość kościółka są tak dobrze oddane przez technikę małych plam.

Drugim ulubionym tematem Wieczorka są drzewa. Każde drzewo ma swój charakter, kształt i kolor. Widzimy u niego drzewa i grupy drzew wesole i smutne, dekoracyjne i niesamowite, bardzo rzadko ponure. Wszystkie malowane jasnymi plamami, bardzo wyraźnie oddającymi światło i cień oraz perspektywę przez zamglenie dalszych planów.

Gra światła i cieni w kościółku São Francisco w Niteroi jest godna uwagi, zwłaszcza, że wydobyte tych efektów w akwareli jest trudne i wymaga specjalnej techniki.

Ta sama delikatność w traktowaniu tematu wyczuwa się w portrecie dziewczynki, gdzie kolorystyka i sposób malowania tak dobrze pasują do sylwetki dziecka i jego spojrzenia.

WIKTOR REIFF, który zdobył dużą sławę w São Paulo i którego projekt nowoczesnej rezydencji na tegorocznym Biennale cieszył się uznaniem wśród krytyków i publiczności brazylijskiej i międzynarodowej, wystawił szereg akwarel.

Jest to architekt artysta, którego fascynuje nie tylko praktyczność rozwiązań lecz również kształt i kolor budowy.

W akwrelach swoich, malowanych dawniej, ma tendencję do barw delikatnych. We wnętrzach i tematach architektonicznych śmiało machnięciem pędzlem dla zaznaczenia tylko tego co najważniejsze przypominają sposób malowania Noakowskiego, który tak doskonale umiał oddać piękno polskiego renesansu i baroku.

W nowszych obrazach, malowanych w Brazylii, artysta nie mógł się oprzeć kolorystyce tego kraju. Jego barwy są dużo żywsze, niż w pracach z Polski i Francji.

Reiff unika ostrych konturów i linii prostych tak jak by chciał odpocząć od planów, fasad i wykresów, uciec od dnia powszedniego do kolorów, światła i cieni, które go fascynują.

(Dokończenie na str. 30)

# CZYTELNICY NASI PISZA...

Dziękujemy wszystkim, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne, zwłaszcza zaś liczny amerykańskim przyjacielom i życzymy im również szczęścia i zdrowia w nadchodzącym Nowym Roku 1962.

P. Marianowi Sprawce z Chicago, który przesłał 25 dolarów na Fundusz Prasowy "Przeglądu Polskiego" — serdeczne Bóg zapłać!

P. Lawrence L. Pilźniński z Dearbon, Mich. U.S.A. zapytuje ile się optaca na pocztie za listy za recepisem (polecone) i ile pocztą lotniczą.

Poczta brazylijska pobiera za list zwykły do Stanów Zjednoczonych 15 cruzeiros, za list lotniczy 25 i za polecenie również 25 cruzeiros. Odpowiada to mniej więcej przy obecnym kursie oficjalnym dolara w Brazylii odpowiednio 5 centom amerykańskim, 8 i 8 centom.

Zgadzamy się z Panem całkowicie, że każdy Polak w Ameryce powinien dopomóc, aby polska mowa w tak dalekim kraju (Brazylii) służyła dla dobra braci Polaków.

P. Józef Zembrzowski z Toledo, U.S.A. bardzo jest ciekaw opisów życia ludzi w Brazylii, którzy jak pisze: "chodzą jeszcze nago, jako dzikusy".

Czyniąc zadość życzeniom Pana i innych Czytelników amerykańskich rozpoczynamy od niniejszego numeru serię reportaży o Indiach.

P. Katarzyna Dudzik z Chicago, przesłała nam wzruszający wierszyk, który drukujemy poniżej:

Och, ty droga polska mowo,  
O, ty drogi skarbie nasz!...  
Tyś spuścizną przodków naszych,  
W swoich synach stróżów masz.  
My cię nad wszystko kochamy,  
Do śmierci cię zachowamy,  
A po naszej śmierci, polska mowo,  
Żyj z naszymi dziećmi zdrowo.

Szereg równie wzruszających wierszy nadesłał nam także P. Bronisław Olszewski z Parany, który pisze:

"Wiersze pisane są maszynowo wierszem, jak Pan Tadeusz. Tylko jest dużo błędów (jak wiadomo, samouk bez szkoły). A więc musiałby Pan to wszystko posklejać i poprawić braki. Myślę, że dobry stolarz, jak Pan, z tego materiału potrafi zrobić dobry mebel dla ogólnego użytku".

Drogi Panie Bronisławie, z nadesłanego materiału wybraliśmy jeden wierszyk i wcale nie poprawiając zamieszczamy. Bardzo nam się ten wierszyk w Redakcji podobał.

## POWÓD WYJAZDU ZA GRANICĘ

Osiem morgów ziemi, w rodzinie czterech [braci.

Mazowiecka ziemia nie wyżywi i nie z bogaci.  
Przykupić nie ma gdzie i nie ma za co.  
Zarobków nie ma. Gardzą ludzką pracą.  
Więc żegnaj rodzinny domie i moi bracia.  
Ja odejść muszę, gdzie chleb i praca.  
Jadę w dalekie, nieznanne kraje południa.  
Zostawiam rodzinę i dziewczę cudne.  
Z tłumokiem na plecach, z kijem tułaczym.  
Ze zbolałym sercem, żalem, goryczą i płaczem.  
Żegnaj ma Polsko, ziemio ukochana, rodzinna.  
Teraz mnie będzie karmić ziemia inna.  
Tyś mnie żywiła i wychowała, czasem surowo.  
Za to Cię Kocham, żeś wychowała mnie zdrowo.

[wo.  
Żegnajcie sosny, brzozy i wy, wierzby płacząc [ce,  
Łąki zielone i zboża złotym kłosem szumiące.  
Już was napewno nie ujrzę, ani szumu usłyszę,  
Chyba we śnie, jak po pracy sen mnie ukohysze.

P. Martyn Wilcz z Gowanda, N. Y. USA pisze:

"Ja już jestem stary wyga, bo 3 października skończyłem 82 lata, to jestem zadowolony z tego, że jeszcze mogę czytać. Gowanda to małe miasto. Polskich rodzin jest tu niewiele — 28, a jak się im wiedzie to nie wszystkim jednako. Jest paru co mają wszystkiego pod dostatkiem, ale więcej takich, co żyją średnio. Jest jeden, co ma sklep spożywczy, czterej mają knajpy. Są tu dwie fabryki: garbarnia i klejarnia. Ja w tej klejarni przerobiłem 44 lata. Ludzi tam pracowało 250, a teraz robi 50, bo mają maszyny co robią za tych ludzi. Za to dużo jest bezrobotnych".

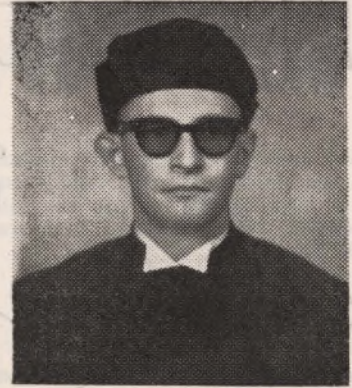
Bardzo dziękujemy, drogi Panie Marcinie, za ten opis Pańskiego miasta i życzymy Panu wiele zdrowia w nadchodzącym Nowym Roku 1962.

Z dalekiego Yukonu w Kanadzie, nad samą prawie granicą Alaski, otrzymaliśmy list od P. Wacława Kalinowskiego. P. Kalinowski pisze, że z wielkim zadowoleniem czyta "Przegląd Polski" i że bardzo go ciekawi życie Polonii brazylijskiej.

A może ktoś z naszych Czytelników brazylijskich zechciałby napisać do redaka zagrzebanego w śniegach dalekiej Północy? Na wszelki wypadek podajemy adres P. Kalinowskiego: P. O. Elsa, Calumet, Yukon Territory, Canada.

Pan sliwiany jest odmiennego zdania.  
— A to wszystko nieprawda, bo ludziom się teraz lepiej powodzi jak dawniej. Drożyna to jest; tylko, że każdy ma więcej pieniędzy. A już takim wendziarzom to gotówka sama leci do kieszeni. Kupują na kredyt, no, to za trzydzieści dni towar podskakuje w cenie o 30 - 40 procent. Czysty zysk. Jak ja się przypatruję to widzę, że nigdzie nie ma zastojów, ani w rolnictwie, ani w przemyśle. Koloniści dawniej wyjeżdżali wozami do miasta, żeby sprzedać produkty, a dziś sami kupcy walą do nich ciężarówkami. Żaden produkt rolny nie poleży u kolonisty, zaraz zabiorą. A jak pan chce wiedzieć to najlepiej się wiedzie naszym kolonistom w Północnej Paranie. Jednak na kawie nikt jeszcze nie stracił. Narzekają, że narzekają, ale pieniądze są. Niejeden ma wilę ze światłem elektrycznym i wszelkimi wygodami. To, panie, co do tego kryzysu aby gadanie.

(sat)



## PROMOCJA POLAKA

Młody i utalentowany publicysta, p. Franciszek Dranka, znany z ciętych i rzeczowych artykułów w "Ludzie", zdobył ostatnio dyplom magistra filozofii na katolickim Uniwersytecie Parańskim.

Pan Dranka, który urodził się w Araukarii, w rodzinie zachowującej tradycję i język polski, prowadzi z dużym powodzeniem w radio "Cambijú" w Araukarii wspólnie z inż. Rizio Wachowiczem cotygodniową audycję, pt.: "Painel Democrático".

## Notatki z São Paulo

(Dokończenie ze str. 29)

JERZY ROSTWOROWSKI wystawił szereg prac olejnych. Jest to jego trzecia wystawa w São Paulo. Jak zawsze jest ogromnie żywy w barwach, często zaskakujący w koncepcji i kompozycji. W tym roku poza tak dla niego charakterystycznymi kogutami i Madonnami pokazuje szereg abstraktów, odznaczających się żywością kolorów oraz oryginalnością kształtów i linii. Malarstwo jego stanowi kontrast z pracami innych artystów na wystawie przez jaskrawość barw, którymi operuje. Nabierają one u niego świecących tonów, jak w "Abstrakcie V" lub w "Czarnym Kogucie".

Projekt mozaiki "Madonna" oryginalny w technice, jak i "Głowa" o barwach podobnych do negatywu fotograficznego.

Abstrakty, śmiałe i niespokojne, przyciągają oczy kombinacją kolorów. Stylizowany św. Hubert nadawałby się na gobelin, a szwoleżer Napoleona I wskazuje jak malarz związany jest przeszłością i lubi do niej powracać.

U wszystkich czterech artystów, którzy z malarstwa nie żyją, a uprawiają je jedynie pro arte, wyczuwa się swobodę ekspresji, własny styl i indywidualność. Ta swoboda nie krępowana przez modę, konieczność malowania na zamówienie lub chęć przypodobania się publiczności, jest ich najcenniejszą cechą. Malują, bo im się malowanie podoba, bo czują wewnętrzną potrzebę, zadowolenie z barw i kształtów. Ta szczerosc w wyborze tematów i ich traktowaniu jest godna podkreślenia zwłaszcza teraz, gdy sztuka malarstwa weszła w okres specjalny, kiedy wpływ mają na nią, niestety, intelektualni snobi lub handlarze obrazów.

Wielka szkoda, że wystawiający nie mogą poświęcić malarstwu więcej czasu, wskutek czego twórczość ich jest mało znana szerszej publiczności.

WIDZ

## Stronica Parańska

(Dokończenie ze str. 28)



Marian Sliwiany





Tak właśnie wyglądają łodzie zwane "uba"

Zdjęcia zamieszczone w niniejszym numerze sporządzone zostały przez Henryka Mirgalowskiego, Edmunda Bielawskiego, Edmunda Gardolińskiego, Eligiusza Woźniaka i Mario Baldi.



Na plantacji juty



Port rybacki na północy Brazylii (stan Rio Grande do Norte).



Jaguar schwytyany żywcem w Tapiraguaiá (Mato Grosso). Zwróćcie uwagę na charakterystyczny kształt czółen indiańskich, wydłużanych z jednego pnia

ONDE HÁ CLASSE  
BOM GOSTO  
E QUALIDADE



**GENUÍNA CHAPA PLÁSTICA  
ESTÁ SEMPRE PRESENTE**

Um produto da

**COMPANHIA QUÍMICA INDUSTRIAL DE LAMINADOS**

Av. Rio Branco, 57 5.º — fone: 23-9515 — RIO DE JANEIRO

**The Western Telegraph  
Company Limited**

składa wszystkim swym Klientom  
najlepsze życzenia z okazji  
Świąt Bożego Narodzenia  
i Nowego Roku 1962.

**Comércio e Indústria  
CIGERO LTDA.**

Rua Quirino de Andrade, 219 4.º — cj. 42  
SÃO PAULO

przesyła wszystkim klientom, a socio-diretor  
Władysław Glocer — wszystkim przyjaciółom  
i znajomym życzenia Wesołych Świąt oraz  
szczęśliwego Nowego Roku 1962.

# ESQUADRIAS SANTA CRUZ S/A



PORTAS, JANELAS, ARMÁRIOS

SÊCOS EM ESTUFA

DISTRIBUIDOR:

**Parquet Fluminense Ltda.**

RIO DE JANEIRO - SÃO PAULO

### DARMO

Dla myślących Chrześcijan dobrej woli, którzy pragną wiedzieć: Co to jest Modlitwa Pańska? Kiedy przyjdzie Królestwo Boże, o które się modlimy? Znaki, cel i korzyści duchowe, moralne i fizyczne ustanowienia Królestwa Bożego na ziemi? Na prośbę wysyłamy bezpłatnie gazetkę nr. 19 p. t.: "Oczekiwanie lepszego jutra". Pisać na adres: W. L. Dziuk, 2609 W. Potomac Ave. Chicago 22, Ill. U. S. A.

### Ogłoszenia drobne:

Polka lat 42 samodzielna, inteligentna, wesoła, przystojna wysoka blondynka pragnie nawiązać miłą korespondencję z Panem o podobnych walorach.

*Halina Wyczółkowska*

Ul. świętojańska 12 ab m. 2.  
Warszawa 40 — Polska.

### DR. S. FELIX WERPACHOWSKI

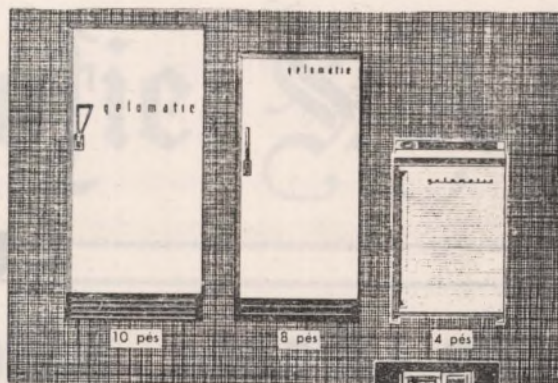
CHIRURG - DENTYSTA

*Klinika specjalistyczna dla dorosłych i dzieci*

PRZYCHODNIA: — Ed. Brasi-lino Moura — Rua Cândido Lopes n.º 205 - 7.º and. - Curitiba.

MIESZKANIE: — Rua Maj. França Gomes, esquina Curupaity, 781 — Vila Carmela Dutra — Santa Quitéria.

ZGODNIE Z POTRZEBAMI  
WASZEJ RODZINY  
GELOMATIC SUPER LUXO LR.

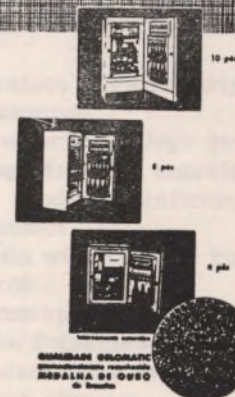


# gelomatic LR

*Super Luxo*

MOŻECIE GO OBEJRZEĆ  
U KONCESJONARIUSZY  
W KAŻDYM MIEŚCIE  
NA TERENIE BRAZYLII

PROTECTOR DE COMERCIALIZAÇÃO



CONCESSIONÁRIOS  
MADALNA DE QUEIROZ

# Indústria Metalúrgica

# STELLA LTDA.

## FABRYKI:

Rua Serra de Japí, 31 - Tel.: 9-0262

SÃO PAULO

Via Bonteiro Lobato - GUARULHOS

## BIURO:

Rua Conselheiro Crispiniano 53 9.º

Tel.: - 35-9180 i 35-9189



## RURY KANALIZACYJNE I PRZEMYSŁOWE

Advertisement for industrial pipes and channels, featuring technical drawings of various pipe sections and fittings. The drawings show different diameters and configurations of pipes, some with flanges and elbows. The text is in Polish and describes the products and their applications in industrial and sewerage systems.

W. J. Krawiec & Spółka  
ul. Włocławek 12, 01-001 Warszawa 40 - Polska

DR. A. FEJL  
WIERZACHOWSKI  
CHIMBÓ - DEWYSTA  
Kierownik specjalistyczny ds. projektowania i wykonania instalacji kanalizacyjnych i przemysłowych.

PRZYCHODNIA - ul. 26. Białej  
ul. 100 - 7. and - Górnika  
MIEKKA - ul. 100 - 7. and - Górnika  
Francja - Górnika - ul. 100 - 7. and - Górnika  
ul. 100 - 7. and - Górnika

# KORZYSTAJCIE Z USŁUG

## Companhia para Expansão da Construção

### "COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin  
stała, niezmienna cena  
własne tereny  
staranne wykończenie  
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka  
(kierownictwo włoskie)  
KOSZULE NA MIARĘ

*Dandy*

J. Grunpeter (dawn. Katowice)  
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)  
SÃO PAULO

STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SÃO PAULO, rua Barão de Itapetininga, 224, 1.º — Fone: 32-3131  
e residência 80-7045

## Tipografia

### ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

JEDYNA POLSKA DRUKARNIA  
W SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego

rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE



# Rodosiel S.A.

## Zamów TYGODNIK AMERYKA-ECHO

AMERYKA ECHO to pismo niezależne, zamieszczające poważne artykuły o sprawie polskiej i o życiu Polonii w Stanach Zjednoczonych.

W AMERYKA ECHO czytelnik znajdzie: korespondencje z całego świata; ciekawy dział dla kobiet, dział rolny dla rolników i ogrodników, omawiający zagadnienia rolnictwa, ogrodnictwa, warzywnictwa i hodowli, informacje i ciekawostki ze świata nauki, poezję, dobrą powieść i humor.

Specjalny dział pogadarek z czytelnikami i kącik dla wszystkich, w którym podawane są artykuły, wspomnienia i uwagi czytelników.

ROCZNA PRENUMERATA AMERYKA - ECHO kosztuje w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie 8.00 dolarów USA, w Ameryce Południowej ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara tylko dol. USA 6.50.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne egzemplarze okazowe.

Adres redakcji i administracji: 1455-57 W. Division Str. Chicago 22, Ill. U.S.A.

**U w a g a !**

**WSZYSTKIE PISMA I CZASOPISMA POLSKIE**  
można zaprenumerować w Rio de Janeiro w firmie

**"M. KISIEL"**

Av. Rio Branco 18. sala 407

Wielki wybór czasopism z dziedzin naukowych i technicznych, również w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, hiszpańskim i niemieckim. Czasopisma religijne; pismka dla dzieci i młodzieży; szachowe, brydżowe, sportowe; z dziedziny sztuki, filmu, teatru, czasopisma handlowe. Poradniki techniczne, rzemieślnicze, rolnicze itd.

**PRENUMERATA ROCZNA**

**NUMERY OKAZOWE DO PRZEJRZENIA**

Do nabycia również Kalendarz POLONII na rok 1961, w pięknym, książkowym wydaniu. Cena Cr\$ 100,00.

**WEEK-ENDY I WAKACJE**

**RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO**

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. **CENY UMIARKOWANE.**

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub  
Caixa Postal, 6335, São Paulo.

Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

**Insubra**

**SÃO PAULO, Rua Barão de Itapetininga 151,**  
3, 4 e 5 andar — Tel. 37-3171

**RIO DE JANEIRO, Av. Rio Branco, 138, 14.º**  
Tels.: 22-6663 e 32-9284

**PORTO ALEGRE, Praça Rui Barbosa, 220, 2.º**  
Tel. 8323 — Ed. Tannhauser.

**CURITIBA, R. 15 de Novembro, 24, Tel. 4-4457**  
Modesto Smolka & Cia. Ltda.

**WSZELKIEGO RODZAJU**

**MASZYNY BIUROWE,**

**ORGANIZACYJNE**

**I BUCHALTERYJNE**

Jeśli Ci się uda znaleźć w Rio de Janeiro

**RESTAURACJĘ**

**"CHEZ PHILIP"**

sprawisz prawdziwą przyjemność swemu podniebieniu.

**Rua Leopoldo Miguez, 108**  
(w pobliżu kina Roxy)  
Tel. 57-9676

**RESTAURACJA**

**"OCEANO"**

**Specjalność:**

barszcz, boeuf a la Strogonoff, szaszłyk po kaukasku, kurczęta z sałatą, flaki, soufflé z czekolady itd.

**RIO DE JANEIRO**

**Rua Hilario de Gouveia, 116**  
Posto 3. - Tel. 37-7378

Właściciel: **Piotr Pastusiak**

**Companhia Comercial Construtora e de Administração**

Avenida São João, 1086 — 4.º Andar — Telefone 36-7186 (rêde interna) — SÃO PAULO

**CONSTRUTORA**

**IMOBILIÁRIA**

**ADMINISTRADORA**

Nós planejamos, projetamos, incorporamos, construímos, fiscalizamos, vendemos ou alugamos e, de ponta a ponta, todas as operações recebem a mais completa assistência de um Departamento Jurídico altamente especializado.

# **Braibanti** *DO BRASIL S. A.*

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

**Instalações completas máquinas e secadores para pastifícios  
prensas automáticas, estendedoras automáticas, meadeiras  
automáticas, equipamentos de pré-secagem e secagem definitiva**

## **ESCRITÓRIO: -**

**Av. Dr. Vieira de Carvalho, 172 - 1.º andar - Tels.: 36-5091 e  
36-0215 - Caixa Postal, 720 - São Paulo - Brasil**

**FÁBRICA: - Av. Santos Dumont, 393 - Tels.: 44-3868  
e 44-3869 - Santo André - Est. S. Paulo**

# Tricot-lã

sweater  
original

